

NOL

Nieoficjalny
Obiekt
Literacki



Andrzej Trybula

MAGAZYN

4

Lukasz Falszewski

MECHANIZM

7

P. Simlat

SZAFA

19

Katarzyna Kubacka

TO TYLKO ZABAWA

22

Witajcie w NOL-u. Nieoficjalnym



A jeszcze inaczej: bardzo oficjalnym biuletynie, tworzonym w wersji papierowej, jak też elektronicznej, przez członków Sekcji Literackiej „Logrus” Śląskiego Klubu Fantastyki.

Brzmi fantastycznie, prawda? I zobowiązuje!

Lubicie szaleństwo? Jego możliwe implikacje? Wyglądające z pozoru niewinnie staczanie się w otchłań po równi pochyłej? Mroczne zakamarki umysłów ludzi ogarniętych obsesją? Całkowity odlot schizofreniczny albo świat wywrócony do góry nogami tak, że już nie jest podobny do niczego, co znaliśmy do tej pory? Kto nie lubi!

Przed nami pierwsza odsłona biuletynu w tym roku, zatem czas na mocne wejście!

Zapewnią je nam z pewnością cztery kolejne opowiadania prezentowane na łamach naszego szacownego pisemka. Każde nieco inne, jednak zdecydowanie związane pewną cechą wspólną – mianowicie właśnie szaleństwem. Swoistym skażeniem wykrzywającym. Rysą tkwiącą bardzo głęboko, bądź to w samych głównych postaciach opowiadania, bądź w otaczającej ich, wykoślawionej rzeczywistości.

Obiekcje Literackim.

[...]

Szaleństwo znajdziecie w każdym z prezentowanych tekstów.

Jest w opowiadaniu „To tylko zabawa” Katarzyny Kubackiej, gdzie główna bohaterka, wesola, roztrzępana, czasami nawet zabawna dziewczyna o wdzięcznym imieniu Lulu, próbuje ułożyć sobie na nowo życie, cały czas tkwiąc jednak bardzo głęboko w traumatycznej wojennej przeszłości.

Szaleństwo jest motorem napędowym mrocznego, utrzymanego w klimatach wiktoriańskiej Anglii i zdecydowanie przesiąkniętego stylistyką steampunkową opowiadania „Mechanizm” Łukasza Falszewskiego, w którym zbolaty ojciec, ogarnięty obsesją po śmierci córki, próbuje odnaleźć jej duszę w tworzonych przez siebie dziełach sztuki.

Jest nim przesiąknięty do imentu schizofreniczny świat „Szafy” P. Simlat, gdzie urywki rzeczywistości mieszają się z fantazją za każdym przekręceniem kluczyka w drzwiach.

Jest wreszcie w „Magazynie”. Moim opowiadaniu, w którym wywracam świat do góry nogami, by udowodnić tylko jedno: że magazynować można naprawdę wszystko.

Jeśli lubicie szaleństwo w literaturze, jego zdolności wykrzywiające, to aktualne wydanie NOL-a jest właśnie dla was.

Zapraszam!

Andrzej Trybuła



MAGAZYN

1

– Odjechało wam do reszty! Kto, kurwa, pozwolił na przełączenie kanałów?! – wrzasnął nadzorca Perth.

W ogromnych przestrzeniach magazynu części zamiennych V Armii Powietrznej generała Rippera jego skrzekliwy głos brzmiał niczym wystrzał albo odgłos pękającego ropnia. Wszystkie wiszące na hakach Półtusze odwróciły się jednocześnie do tyłu, robiąc synchroniczny zwrot przez prawe ramię. Kable przyłącza, spajające przysadki z głównym serwerem, naciągnęły się niebezpiecznie, grożąc zerwaniem połączenia. Przeciążenie łącza skutkowało chwilowym spadkiem napięcia. Setki monitorów przygasły nagle niczym ognie świec w pomieszczeniu pozbawionym dopływu powietrza. Półtusze posiadające jelita zaczęły wypuszczać głośnie, bulgotliwe bąki.

– Tylko mi się tu, kurwa, nie wypróżniać! – wrzasnął ponownie nadzorca. – Człowiek wraca spokojnie z kibla, a tu co? Rewolucja w obiekcie wojskowym?! Regulamin mówi wyraźnie: Własność armii ma wisieć w spo-ko-ju. I cierpliwie, z godnością oczekiwać na swoją kolej do rozdziału narządów. Jedyny dopuszczalny program rozrywki to kanał wojskowy. Pytam więc jeszcze raz: kto i jakim cudem zmienił program?

– Ale to nie my. – Wiszący najbliżej Półtusz zdecydował się na odpowiedź. Perth od razu wymierzył mu siarczystego kopniaka w bok. Wojskowy but wbił się w rozlazłe, galaretowate ciało prawie do połowy cholewy. Nadzorca z zadowoleniem odnotował charakterystyczny trzask łamanych żeber. Ogluszony uderzeniem Półtusz dyndał teraz pocieszenie na boki, uprawiając w ruch wahadłowy cały rząd wiszących obok korpusów. Kilkorgu z nich puściły zwieracze, uruchamiając głośno działające urządzenia ssąco-oczyszczające. W magazynie zrobiło się naprawdę wesoło.

– Powiedziałem, nie srać mi tu pod siebie – uśmiechnął się Perth, łapiąc się pod boki.

– Ale to naprawdę nie my. – Pozostałe Półtusze postanowiły poprzeć swojego kolegę. – To program specjalny nadawany przez wszystkie ośrodki wojskowe świata. Podobno go zlokalizowali.

– Kogo znowu, do kurwy nędzy, zlokalizowali?

– Pisarza... Ojca – wyjaśnili zgodnym chórem.

– Jak to możliwe? – Nadzorca podrapał się po kroczu. Kolejny raz złapał się przy tym na zazdrośnym wgapieniu w wiszące po lewej stronie korpusy wyposażone w organy płciowe. Podniecenie bijące z rozmowy wywołało u nich bezwstydną erekcję. Tuż pod boki wyrósł mu teraz prawdziwy las sterczących – i dodatkowo działających na niego jak płachta na byka – wielkich czerwonych kutasów.

– Podobno sprawił to cud oczyszczenia – Półtusze wyglądały na wniebowzięte. – Podobno chmura ustąpiła sama z siebie. Australia jest wolna. Powietrze na antypodach czyste jak woda oligoceńska. Zresztą niech nadzorca sam zobaczy.

Perth wgapił się z niepokojem w obraz podawany przez satelity. Faktycznie to, co pokazywali na ekranie, przypominało trochę Australię. Cała powierzchnia dużej wyspy widoczna była jak na



MAGAZYN
RYS. K. KUBACKA

dłoni. Zniknęły miasta i wszelkie inne przejawy ludzkiej aktywności. Cały kontynent przypominał teraz jedno wielkie pole obsiane włoszczyzną. Różnica była taka, że zamiast zielonych główek kapusty równe bruzdy grządek ciągnące się po horyzont obsadzone były w całości głowami ludzkimi. A w zasadzie jedną zunifikowaną głową, tyle że w różnych rozmiarach.

Kamera satelity dała zbliżenie.

Niektóre głowy były już wyraźnie dojrzałe. Pękały teraz z hukiem, uwalniając w energetycznej erupcji różowe chmury lotnego metalu.

– Wiadomo, kto to jest?

– Jakiś gość z Melbourne. Jean Masczywywyzs. – Jeden z Półtuszy próbował wymówić obco brzmiące nazwisko, jednak szybko dał sobie spokój. – Mówią, że facet musiał być pierwszy. Kosmiczne Nici weszły z nim w interakcję, przepoczwarzyły się, a potem potraktowały jak całościową matrycę do zmian. Podobno wszystkie dotychczasowe anomalie to tylko i wyłącznie jego chore imaginacje. Pisarz był nieźle pokręcony. Mówią, że armia rozsyła jego książki, gdzie tylko się da. Wszyscy będą wiedzieć, co może się jeszcze zdarzyć.

Perth zbliżył się do stolika.

Leżało tam pudło z porannej poczty. W środku faktycznie były książki, stare i papierowe. Wziął do ręki jedną z nich. Na okładce wyrysowany był facet o dziwnych uszach, jakby wyrwający się płynnym ruchem wprost z ziemi. Głowa gościa z okładki dziwnym trafem przypominała głowy wyrastające z grządek na terenie Australii. Nadzorca otworzył pierwszą stronę, próbując wczytać się w zawarte tam słowa.

– Dżizas, po jakimu to napisane? Bo na pewno nie po naszymu.

– Mówią, że to chyba po polsku. Podobno był taki kraj... Gdzieś na Starym Kontynencie – odpowiedziały Półtusze.

– No to dupa – Perth przypomniał sobie morze gotującej się magmy, które kiedyś było Europą. Na jego twarz wrócił szelmowski uśmiech. Może jakiś dupek z jajami, gdzieś tam w dowództwie, zna ten obsrany język. Tyle że kogo to, kurwa, teraz obchodzi. Na pewno nie prostego żołnierza. Jego broszka to robić swoje, dalej hodować debilne Półtusze i czekać w spokoju na regulaminowy przydział jader.

Na szczęście dla nadzorca pokazywane zmiany powoli zaczęły ustępować. Australia ponownie zaciągnęła się dymem. Obraz zamigotał i znikł z monitorów. Program Hodowli Wizyjnej z powrotem przełączył się na kanał wojskowy.

– Uuuuuuuuu! – zawyły zgodnie Półtusze w ekstazie. Na wszystkich ekranach wielka włochata stopa oderwała się z nieboskłonu, miażdżąc pod swoim biologicznym ciężarem nowojorski Empire State Building.

– Stulić ryje, ścierwa! – wrzasnął Perth po swojemu.

W magazynie wszystko wróciło do normy.



Mechanizm

2

Serdeczne podziękowania dla wszystkich, którzy wzięli udział w pogrzebie tragicznie zmarłej w wieku lat 16 Natalie Goodman, jedynej i ukochanej córki wytwórcy lalek mag-mechanicznych Jamesa Goodmana oraz jego żony Jane Goodman.

Ostatnio często padało. Przyklejone do tablicy ogłoszeń przy ulicy Króla Edwarda II kawałki papieru były mocno zawilgocone, a widniejące na nich teksty częściowo nieczytelne. Anthony Jeffers najpierw zauważył klepsydry: była większa od innych i bardzo ozdobna, sąsiadowała z anonsami domów publicznych, wróżbitów i alchemików, ofertami pracy oraz mieszkań do wynajęcia. Thony'ego zasadniczo interesowały tylko te ostatnie – dopiero niedawno przyjechał do Cobblingstone i chwilowo zatrzymał się u znajomego z dawnych studenckich czasów. Nie mógł jednak w nieskończoność nadużywać jego gościnności.

Rozpoczynał się kolejny tego dnia rześisty deszcz. Dlatego, mimo stosunkowo niewielkiej odległości od domu przyjaciela, Thony Jeffers zdecydował się skinąć dłonią na stojącego w pobliżu dorożkarza.

* * *

Następnego dnia po pogrzebie córki James Goodman wciąż nie opuścił swojego gabinetu, w którym zamknął się zaraz po powrocie z ceremonii. Mocno ubłocone obuwie, płaszcz oraz mokry parasol rzucił bezładnie na pokrytą kosztownym, choć już lekko wytartym i wypłowiałym orientalnym dywanem podłogę. Przez ponad dobę nie dopuszczał do siebie nikogo: ani służby, co jakiś czas coraz bardziej natęczywie pukającej do drzwi, ani tym bardziej żony. Gdy wreszcie wyszedł, zauważył dostawiony w holu stolik, na którym ktoś ustawił tacę ze śniadaniem – wciąż jeszcze ciepłą mimo dosyć późnej pory jajecznicą na bekonie, chlebem, masłem oraz gorącą herbatą.

– Sir – usłyszał za sobą, gdy pochylał się nad stolikiem, by zabrać tacę. Odwrócił się powoli. Z sąsiedniego pomieszczenia, czyli do niedawna sypialni zmarłej, właśnie wyszła pokojówka.

– W porządku, Nancy – rzekł. – Powiedz pani, że zejdę na dół, gdy tylko zjem śniadanie. – I zniknął z powrotem w gabinecie.

– Dobrze, psze pana – odpowiedziała służąca do zatrzaskujących się drzwi.

Pół godziny później mężczyzna rzeczywiście zszedł na parter, do salonu, w którym czekała już jego żona. Goodmanowie zajmowali spory dom przy alei Admirała Tennersona – jednej z bardziej reprezentacyjnych ulic w Cobblingstone – którego utrzymanie kosztowało ich prawie trzydzieści tysięcy szternów rocznie. Był to wolno stojący, jednopiętrowy budynek o białych ścianach, z niewielkim portykiem z sześcioma kolumnkami. W każdym ze skrzydeł głównej fasady można było doliczyć się ośmiu dużych okien zdobionych rzeźbionymi parapetami.

Z kolei dach dekorowały liczne maszkarony i gargulce. Całość otaczał niewielki park z bramą z kutego żelaza i takim samym ogrodzeniem.

– Kazałam rozwiesić podziękowania – powiedziała Jane Goodman na widok męża. – Przybyło naprawdę wielu ludzi.

– Których nawet nie znam – odparł mężczyzna. Jego zwykle miły i bardzo łagodny głos tym razem zabrzmiał nieco opryskliwie i nieprzyjemnie – Przyszli dlatego, że jestem znanym wytwórcą lalek.

– Co nie znaczy, że ich współczucie nie było szczere – odpowiedziała kobieta, po czym dodała: – Martwiłam się o ciebie.

* * *

– Dzień dobry. Czy mam przyjemność z panią Johanson? – zapytał Thony Jeffers.

– Panną Johanson – odpowiedziała starsza kobieta, która przed chwilą pojawiła się w drzwiach. Była to osoba niezbyt wysoka, o miłej aparycji oraz siwych, starannie ułożonych w kok włosach.

– Przepraszam, panno Johanson – odrzekł. – Nazywam się Anthony Jeffers i poszukuję mieszkania, które mógłbym wynająć.

Omiotła go wzrokiem, poczynając od eleganckich i świeżo wypastowanych butów, przez skórzaną teczkę-aktówkę, a kończąc na cylindrze. Bez wątpienia dżentelmen w każdym calu.

– Dobrze, niech pan wejdzie. Chce pan je od razu obejrzeć i omówić warunki?

– Tak, oczywiście.

Zaprowadziła go na piętro kamienicy.

– Nie wiem, czy warunki nie będą dla pana zbyt skromne – mówiła, idąc po schodach. – Mieszkanie jest niewielkie. Właściwie to nie musiałabym go wynajmować, poradziłabym sobie bez tego, ale mój siostrzeniec... – Pokręciła głową, jakby chciała dodać jakąś uwagę o zepsuciu obecnej młodzieży – I bynajmniej nie chcę pana zniechęcać, ale poprzedni najemca powiesił się. – Ostatnie słowa wypowiedziała, ścisząc głos do ledwo słyszalnego szeptu. – Dlatego mam problem z wynajęciem tego mieszkania.

– Nie sądzę, by to była jakaś przeszkoda – odpowiedział Thony, otwierając wskazane drzwi.

Rzeczywiście, lokum składało się tylko z dwóch pokoi. W jednym z nich ledwo mieściło się sporych rozmiarów łóżko, drugi był około trzykrotnie większy i połączony z kuchnią. Toaleta znajdowała się na zewnątrz, w korytarzu.

– Czynsz wynosi piętnaście szternów miesięcznie – kontynuowała staruszka. – Pierwsze dwa miesiące płatne z góry. Mam tylko nadzieję, że jest pan spokojnym człowiekiem. A właściwie można wiedzieć, czym się pan zajmuje?

– Zajmuję się mechanizmami, panno Johanson.

– Tworzy pan lalki? – Kobieta znowu pokręciła lekko głową.

– Raczej naprawiam... – odpowiedział. – A właściwie, czy można by przytwierdzić na fasadzie domu tabliczkę, naprawdę niedużą? – To mówiąc, wyjął z teczki mosiężną plaketkę o wymiarach sześć na cztery cale i zaokrąglonych narożnikach, na której znajdowały się niewielkie czarne litery, głoszące „Anthony Jeffers – naprawa chronometrów i wszelkich innych mechanizmów”.

– Dobrze, panie Jeffers. – Kobieta westchnęła po chwili, jakby nie była do końca przekonana do tego pomysłu.

– Dziękuję, panno Johanson. Jeśli to możliwe, wprowadzę się już jutro. I oczywiście zapłacę z góry.

Thony bez problemu mógł pozwolić sobie na żadaną przez staruszkę zapłatę. Czyny był rzeczywiście niski. „Pewnie przez tego samobójcę” – pomyślał.

* * *

Minęły cztery dni od pogrzebu Natalie, gdy James Goodman po raz pierwszy od jej śmierci przekroczył próg swojej pracowni – tej, w której tworzył mag-mechaniczne lalki. Na warsztatowym stole czekała niedokończona praca, liczący około czterech i pół stopy wysokości jednorożec. Mechanizm był już gotowy, tak jak wykonana z wielu kawałków porcelany i brązu figura. Brakowało tylko jedenastocalowego rogu, który spoczywał osobno obok, oczekując jeszcze na pociągnięcie złotą farbą.

Sama pracownia była sporym pomieszczeniem, znajdującym się w osobnym, murowanym budynku na tyłach właściwego domostwa. Duże okna zapewniały sporą ilość światła, a mimo to wyposażono ją w kilka gazowych lamp, zapalonych nawet wtedy, gdy James Goodman pracował w środku dnia. Sufit, wsparty na potężnych, drewnianych i pomalowanych na czarno belkach, kontrastujących z białą ścian i powały, umieszczono na wysokości ponaddwukrotnego wzrostu przeciętnego człowieka.

Tym razem jednak lampy pozostały zgaszone. James Goodman nie przebrał się też w roboczy strój, zwykle drelichowe ubranie, które mógłby nosić niewykwalifikowany robotnik. Zamiast tego przystawił do stołu stojące uprzednio pod ścianą krzesło i usiadł na nim. Ostrożnie wziął do ręki przygotowany wcześniej, spiralnie skręcony porcelanowy róg, by po chwili odłożyć go z powrotem. Wstał i opuścił pracownię.

Jeszcze tego samego dnia nakazał wysłać pilny list do sir George’a Andertona z Meringbroke. Napisał w nim:

...z tych względów wykonanie Pańskiego zamówienia na figurę mechanicznego jednorożca nieco się opóźni. Mam nadzieję, że spotka się to z Pana zrozumieniem i wyrozumiałością...

* * *

Choć minęło już kilka dni, od kiedy Thony Jeffers wprowadził się do wynajętego mieszkania, wciąż nie rozpakował większości swoich kufrów. Po pierwsze dlatego, że nie było takiej potrzeby, a po drugie, ponieważ lokum było naprawdę małe. Poza tym było tu dosyć ciemno, jak to zwykle bywa w pokojach posiadających okna na wewnętrzne podwórze kamienicy. Brakowało też gazowego oświetlenia, jedynym źródłem światła były lampy naftowe. Jednak w tej cenie niemożliwe było wynajęcie czegokolwiek lepszego.

Mieszkanie udostępniane przez pannę Johanson nie stanowiło też dobrego punktu na prowadzenie warsztatu mechanistrzowskiego. Tym jednak Thony niezbyt się przejmował. To nie naprawianie mechanizmów miało być jego źródłem utrzymania. Od ponad roku pracował nad rewolucyjnym – jego zdaniem – wynalazkiem, który miał zapewnić mu trwałe miejsce w historii cywilizacji. A także ustawić finansowo na resztę życia.

* * *

Siedziba Czwartej Łoży Wielkiego Północnego Towarzystwa Spirytystycznego była niepozornym budynkiem, wtulonym pomiędzy dwie znacznie bardziej okazałe kamienice. W przeciwień-

stwie do swoich sąsiadek nie posiadała żadnych zdobień. Również jej kolor – jednolita szarość – sprawiał, że wzrok przechodniów prześlizgiwał się po fasadzie.

Do tej właśnie kamienicy zapukał James Goodman późnym wieczorem szesnastego dnia od pogrzebu Natalie. Nieprędko mu otwarto.

– Taaaaaaaak – powiedział, przeciągając daleko ponad miarę głoski młody, najwyżej dwudziestoletni mężczyzna, który pojawił się w drzwiach.

– Chcę porozmawiać z Mistrzem Rafaelem – odparł James Goodman. – Jestem umówiony.

Młodzieniec cofnął się, pozwalając na wejście. Następnie poprowadził gościa długim, ciemnym i wąskim korytarzem, w którym wisiał szereg obrazów zbyt dziwnych, by można było rozpoznać ich treść. Kolejne drzwi – czwarte z lewej strony – prowadziły do sporego, pozabawionego okien pomieszczenia o ścianach zdobionych arrasami. Poza tym było tam miejsce dla niewielkiej biblioteczki oraz dziewięciu ustawionych w okrąg, pokrytych czarną skórą foteli. Na jednym z nich siedział starzec, który musiał być tutejszym gospodarzem.

– Mistrzu Rafaelu – powiedział James Goodman – dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć.

– A miałem inny wybór? – zapytał retorycznie starzec. – W ciągu ostatnich dwóch tygodni poruszyłeś niebo i ziemię, żeby mnie znaleźć. – Rozkaszał się nieco. – I znalazłeś. A to niełatwe.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Wiem, po co przyszedłeś, Jamesie Goodmanie – powiedział Mistrz Rafael. – To będzie kosztować. Dziesięć tysięcy szternów za trzy próby. Niezależnie od stopnia powodzenia.

* * *

Anthony Jeffers był zirytowany. Pierwszy klient – z niedziałającym chronometrem – trafił się już dwa dni po przeprowadzce. Od tej pory codziennie przychodził ktoś, komu akurat zepsuł się jakiś mechanizm. A dzisiaj, jak na złość, zjawiała się już druga osoba. Mimo tego, że Thony nie wywiesił na mieście żadnych plakatów, a tym bardziej nie ogłaszał się w prasie. Jedyny ślad jego działalności – będącej przecież przykrywką dla znacznie ważniejszej pracy – stanowiła owa nieszczęsna tabliczka przy wejściu. Jednak chcąc zachować wiarygodność swojego kamuflażu, nie mógł odmówić. Zwłaszcza gdy szukającym mechanistrza był biedny staruszek, który przyszedł z ulubioną zabawką swojej wnuczki – niewielką figurką smoka machającego skrzydłami.

– To będzie wynosić dwa szterny. – Thony nie mógł ze spokojnym sumieniem zażądać wyższej kwoty. Nawet jeśli było to sporo poniżej zwykłej opłaty za usługę. Z drugiej strony była to połowa ceny nowej zabawki, zwykłej, taniej figurki wytwarzanej masowo w manufakturach Staedhsola. – Nie, nie... – powiedział jeszcze, widząc, że staruszek sięga do kieszeni. – Zapłata po wykonaniu naprawy.

Do tej pory zawsze żądał zapłaty z góry, jak prawie wszyscy mechanistrzowie. Właśnie dlatego był zirytowany. A także z tego powodu, iż wiedział, że wyrzuty sumienia nie pozwolą na powrót do pracy nad wynalazkiem, dopóki nie naprawi powierzonej mu zabawki.

Postawił figurkę na niewielkim stoliku, usiadł na krześle i zabrał się do pracy. Skończył po około dwóch godzinach, akurat zaczęła zapadać ciemność.

* * *

Mag-mechaniczny jednorożec był wreszcie gotowy i mógł trafić do klienta. James Goodman przekręcił klucz o połowę pełnego obrotu, wypowiadając równocześnie ostatnie niezbędne

inkantacje. Figura zastukała kopytem o blat warsztatowego stołu i zrobiła dwa kroki do przodu. Następnie potrząsnęła łbem i drobiąc nogami, cofnęła się do swojego poprzedniego położenia.

Test wypadł pomyślnie.

* * *

Thony Jeffers szedł szybko uliczkami dzielnicy portowej w Cobblingstone, raz po raz oglądając się za siebie i mocno ściskając spory pakunek. Zaułki były tutaj wąskie i nie służyły z bezpieczeństwa, nawet policja zapuszczała się w nie bardzo rzadko. Oprócz tawern i różnej wielkości magazynów nie brakowało tu miejsc, w których można było kupić różne egzotyczne towary, od przypraw poczynając, a na księgach i różnych dziwnych mechanizmach nieznanego przeznaczenia kończąc.

Było południe, słońce przygrzewało niemiłosiernie. Im dalej od właściwych doków i nabrzeży, tym dzielnica wyglądała gorzej. Choć uliczki były tutaj szersze, domy popadały w coraz większą ruinę. Wszędzie, nawet w okolicach odległych od targowisk, unosił się smród ryb, stanowiących po usmażeniu główne pożywienie zamieszkującej tutaj biedoty. Było tu jeszcze bardziej niebezpiecznie, Thony niejednokrotnie zmuszał się do jakby niezamierzonego ominięcia szerokim łukiem niektórych wałęsających się tutaj ludzi. Niejeden raz przyszło mu też opędnąć się od wyciągających ręce po datki żebraków.

Opuściwszy wreszcie niebezpieczny rejon, Thony wszedł do pierwszej napotkanej dorożki, polecił zawieźć się pod adres mieszkania wynajmowanego od panny Johanson i po piętnastu minutach znalazł się na miejscu.

Starannie zamknął za sobą drzwi i zapalwszy jedną z lamp, zabrał się za otwieranie przyniesionego pakunku. Zawierał on księgę, dużą i ciężką, w oprawie z mocno zniszczonej już skóry, z mosiężnymi okuciami na rogach i paskiem utrzymującym ją zamkniętą. Wnętrze było w dużo lepszym stanie niż okładka, na pergaminowych stronicach znajdowało się jednak niewiele tekstu. Za to było na nich dużo rysunków przedstawiających schematy: symbole kół zębatach, sprężyn, kluczy do nakręcania, wahadeł i wielu innych elementów.

Thony widział tę księgę tylko kilka razy – za swoich studenckich czasów w bibliotece Uniwersytetu w Rikkerton – ale przejrzał ją wtedy na tyle dokładnie, by wiedzieć, że może zawierać to, czego teraz szukał. I właśnie udało mu się ją zdobyć, mimo że kosztowała go prawie sto dwadzieścia szternów. Przypominał sobie słowa jednego wykładowców: „Niech każdy z was przejrzy tę księgę. Stanowi ona przykład kuriozalnych ścieżek myśli ludzkiej. Wspólną cechą wszystkich przedstawionych tam mechanizmów jest to bowiem to, że żaden z nich nie może działać... albo raczej żaden z nich nie posiada sensownego zastosowania”.

* * *

Zbliżała się północ. Na ulicy, przy której znajdowała się siedziba Towarzystwa Spirytystycznego, było pusto i cicho. A także dosyć ciemno, nie było tutaj żadnych latarni, jedyne źródło światła stanowiła wisząca wysoko tarcza księżycy w pełni.

Natomiast w szarej kamienicy było jasno, wszędzie stały zapalone świece, zadbane jednak, by światło nie wydostawało się na zewnątrz. Najwięcej lichtarzy – każdy wykonany ze srebra, wysokości ponad czterech stóp i grubości ludzkiej ręki – znajdowało się w pomieszczeniu z dziewięcioma fotelami, tym samym, w którym James Goodman rozmawiał uprzednio z Mistrzem

Rafaelem. Tym razem oprócz nich w pokoju znajdowały się jeszcze dwie osoby, będące z pewnością członkami Towarzystwa. Wysoki mężczyzna o pociągłej, bladej twarzy oraz rumiany jegomość, który poruszał się tak, jakby nigdy nie wiedział, co począć z rękami.

Przed każdym z foteli stały trzy świeczniki. Ustawiono je w jednej linii ku środkowi pomieszczenia, tak by wspólnie z pozostałymi tworzyły trzy koncentryczne kręgi, każdy zbudowany z dziewięciu świec. Poza tym pomieszczenie wyglądało tak jak podczas poprzedniej wizyty Jamesa Goodmana.

Ceremonia rozpoczęła się na minutę przed północą. Trzej członkowie Towarzystwa – ostatnim z nich był Mistrz Rafael – zasiedli w fotelach w równej odległości od siebie. Johnowi Goodmanowi wskazano miejsce na krześle w rogu pomieszczenia, poza kręgiem.

Dokładnie o północy Mistrz rozpoczął inkantację, do której po pewnym czasie kolejno dołączyli pozostali dwaj uczestnicy rytuału. Zaczęli szeptem, później przeszli w lekki, modulowany zaśpiew. Raz po raz któryś z trójki wypowiadał formuły przywołania głośniejszym głosem, wtedy pozostali ścisiali głosy, zaś po chwili role ulegały zmianie. Na koniec wszyscy wypowiedzieli imię wywołanej: Natalie Goodman. Wszystkie świece zgasyły, jakby nagle zdmuchnięte nagłym powiewem. Nic więcej się jednak nie stało.

Zaledwie kilkanaście sekund później jedna ze świec zapłonęła ponownie, zapalona przez Mistrza Rafaela. Pozostali dwaj członkowie Towarzystwa wstali z foteli, a następnie cała trójka opuściła pomieszczenie, zostawiając Jamesa Goodmana w samotności. Stało się oczywiste, że próba przywołania ducha Natalie zakończyła się niepowodzeniem.

* * *

Była już późna noc, jednak w mieszkaniu panny Johanson nadal było dość jasno, Thony Jeffers wciąż pracował. Cztery lampy naftowe ustawiono tak, by ich odbłyśniki kierowały światło na stół zajmujący centralną pozycję w pokoju. Na tymże zaś leżały stosy papierzysk i przyborów kreślarskich, a także zdobytą niedawno księga, otwarta na jednej z ostatnich stron.

Thony, mrużąc pod nosem jakąś melodię, zmienił trzymany w ręku ołówek na inny, o większej twardości. Nachylił się nad papierami i kontynuował rysowanie. Na wielkiej karcie powstawał schemat mechanizmu. Był już w znacznej mierze gotowy, wymagał tylko uzupełnienia o fragment przerysowany z książki. „Tak” – pomyślał mężczyzna, stawiając ostatnią kreskę – „teraz powinno zadziałać”.

Zamknął księgę, odsunął karteluszki – z wyjątkiem tego, na którym znajdował się końcowy schemat – i odsunął się od stołu. Następnie pootwierał większość swoich kufrów, w których znajdowało się mnóstwo mechanicznych elementów: sprężyn, tarcz, bolców, nitów, kątowników, podpórek, osi, łożysk, śrub, kół zębatach i wahadeł, a także spora ilość narzędzi. Thony zaczął przeglądać uważnie zawartość skrzyń w poszukiwaniu takich elementów, jakie będą mu potrzebne.

Z kolei z ostatniego kufra wydobyty został częściowo ukończony już mechanizm. Miał kształt sześcianu o długości boku około dwunastu cali. Jedną ze ścian stanowiła tarcza przypominająca zegarówą, zaopatrzona jednak w trzy wskazówki umożliwiające ustawienie daty i godziny.

Przez następne cztery dni szczęśliwie nie trafił się żaden klient, co umożliwiło niemal ciągłą pracę nad wynalazkiem, przerywaną tylko snem i posiłkami. Thony ostrożnie umieszczał w mechanizmie kolejne elementy, wypowiadając przy tym złożone zaklęcia.

Jane Goodman po raz pierwszy od śmierci Natalie – a minęły już cztery miesiące – zasiadła do fortepianu. Piękny czarny instrument stał na podwyższeniu w rogu dużego salonu, połyskując nieskazitelną bielą klawiszy. Kobieta najpierw delikatnie musnęła klawiaturę, następnie otworzyła nuty i zaczęła grać cichą, spokojną i jakby smutną melodię.

– Dawno nie słyszałem, jak grasz – powiedział James Goodman, wchodząc do pomieszczenia.
– To była ulubiona melodia Natalie.

– Tak – odparła Jane. – Miała prawdziwy talent, grała dużo lepiej ode mnie.

James Goodman zamyślił się. Wspominał dzień, w którym umarła Natalie. „Nie możesz mnie do tego zmuszać!” – wykrzyczała wtedy i wybiegła z domu na ulicę przez ogród i półotwartą akurat bramę. Wprost pod koła powozu i kopyta koni. Zdarzenie stanowiło finał długiej kłótni na temat jej małżeństwa, które zamierzał zaaranżować. „Nie powinienem był jej na to pozwalać” – pomyślał teraz, przypomniał sobie, jak kiedyś znalazł w jej pokoju ulotki rozdawane przez organizację nazywającą siebie Stowarzyszeniem Walki o Prawa Kobiet. Zaciśnął pięści. Wrócił myślami do teraźniejszości, do drugiej i trzeciej próby skontaktowania się z jej duchem, podjętych przez Towarzystwo Spirytystyczne. Obie zakończyły się niepowodzeniem, różnica była tylko taka, że w ostatniej ceremonii brało udział aż dziewięciu magów, a w poprzedniej sześciu. „Gdybym tylko mógł jej wytłumaczyć...” – pomyślał jeszcze i dodał w myślach: – „Rozstaliśmy się w gniewie”.

– James – powiedziała Jane, przestawszy grać. Wyrwała go z zamyślenia. Rozluźnił dłonie.



Późnym wieczorem Thony Jeffers wracał właśnie do wynajmowanego mieszkania. Był zadowolony, ponieważ udało mu się zdobyć kilka niezbędnych do dokończenia mechanizmu części. Skręcił w kolejną uliczkę, w której drogę zastąpiły mu dwie zakapturzone postacie. Próbował zawrócić, ale za jego plecami znajdowała się jeszcze jedna osoba. W rękach napastników błysnęły noże.

* * *

James Goodman opuścił siedzibę Towarzystwa Spirytystycznego w fatalnym humorze. Mistrz Rafael powiedział mu to samo, co poprzednio: dziesięć tysięcy szternów za trzy próby. Nie chodziło przy tym o zbyt wygórowaną cenę, Goodmanowie byli naprawdę bogatymi ludźmi. Zły nastrój Jamesa spowodowany był trudnościami z ukryciem poprzedniego wydatku przed dociekliwością żony. „Drugi raz się nie uda” – rozmyślał niewesoło.

Minąwszy kolejny zakręt, wszedł w niewielką uliczkę i zobaczył w odległości kilkunastu jardów od siebie cztery postacie. Trzy z nich były zakapturzone i otaczały czwartą. James Goodman wyjął z kieszeni surduta rewolwer.

* * *

W panującej ciszy rozległ się huk wystrzału. Thony Jeffers rozejrzał się szybko i zauważył u wylotu uliczki człowieka, trzymającego w ręce broń. Sekundę później po zakapturzonych postaciach nie pozostał nawet ślad.

– Nic panu nie jest? – zapytał mężczyzna z rewolwerem. – Chyba zniknęli na dobre – dodał po chwili.

– Dziękuję – odparł Thony. – Wszystko w porządku. Nie zdążyli zrobić mi krzywdy. Komu zawdzięczam ratunek?

– Jestem James Goodman, do usług.

– Thony Jeffers, również do usług.... James Goodman, wytwórca ruchomych figur?

– No cóż, tak.

W wylocie ulicy pojawiło się dwoje policjantów.

– Usłyszeliśmy wystrzał – powiedział jeden z nich. – Co tu się stało?

* * *

– Przyszedł list od lorda Sackweirda – powiedziała Jane Goodman do męża. – Będzie jutro o dziesiątej, aby omówić wygląd figury. – Wręczyła Jamesowi zapisaną eleganckim pismem kartę. Ten zaczął czytać.

...dziękuję za przyjęcie zamówienia oraz zaproszenie... przybędę zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami...

Skończywszy czytanie, James Goodman odłożył list na stojący w rogu pokoju okrągły stolik. Jane coś mówiła, ale zaprzątnięty myślami o jutrzejszym spotkaniu prawie nie zwracał uwagi na jej słowa. Nowe zamówienie było dla niego korzystne, a równocześnie niewygodne, gdyż zamierzał poświęcić się tworzeniu bardzo specjalnej mag-mechanicznej lalki.

– James! – Drgnął gwałtownie, gdy dotarły do niego ostatnie, wypowiedziane podniesionym głosem, słowa żony. – W ogóle mnie nie słuchasz.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Nic szczególnie ważnego. – Jane Goodman uśmiechnęła się smutno.

* * *

Kilka dni później James Goodman siedział w swojej pracowni. Choć nigdy wcześniej nie miał takiego zwyczaju, tym razem zamknął się w niej od wewnątrz. Było późne popołudnie, na stole leżały stopy papierzynek. Większość kart była pusta, jedynie dwie z nich wypełnione były wstępnymi szkicami przedstawiającymi projekt figury antycznego herosa.

James staranie odłożył na bok zapisane kartki. Podkreślił mocno lampy, świeciły teraz znacznie jaśniej niż zwykle. Wziął ołówek i zastął w bezruchu nad kolejnym arkuszem papieru. Wreszcie zaczął rysować, pierwsze kreski powstawały szybko i pewnie, późniejsze – coraz wolniej i z większym wahaniem. Spod ręki lalkarza powoli wyłaniała się twarz Natalie.

Kilka godzin później, długo po zapadnięciu nocy, szczegółowy rysunek był wreszcie gotowy.

* * *

Thony obudził się gwałtownie we wczesny poranek. Wokół panowała cisza, a za oknem było jeszcze szaro. Wytyżając wzrok, można było zobaczyć pierwsze tej zimy delikatne płatki śniegu, które w niewielkiej ilości sypały się z nieboskłonu.

Mężczyzna był wściekły, głównie na samego siebie. Wczoraj przeprowadził pierwszą próbę swego wynalazku, a ta zakończyła się fiaskiem. Próbuując raz po raz uzyskać zaplanowany efekt, wreszcie zasnął, oparłszy głowę o stół. Dwie lampy pozostały wtedy zapalone, zagrażając pożarem.

Ale nie to było przyczyną rozdrażnienia Thony'ego. Teraz patrząc na gotowy mechanizm oraz rozłożone na stole papiery, nie potrafił zrozumieć, jak mógł wcześniej nie zauważyć tak oczywistego błędu w kluczowym elemencie rozrysowanego schematu.

„Jutro...” – pomyślał z pewną rezygnacją, która zajęła miejsce wcześniejszej złości. – „Zajmę się tym jutro”.

* * *

Po zaledwie dwóch miesiącach lalka przedstawiająca Natalie była gotowa, a jej twórca patrzył na nią krytycznie. Coś mu nie pasowało. Wreszcie westchnął i opuścił pracownię, postanawiając rozstrzygnąć wątpliwości później.

– Przyszedł list od lorda Sackweirda – powiedziała Jane Goodman, gdy znalazł się w domu. – Z pytaniami, dlaczego wykonanie figury dla niego się opóźnia.

Mężczyzna wyrwał list z jej dłoni, przeczytał szybko, po czym rozdrażniony wrzucił go do kominka. Wyszedł i wrócił do pracowni. Złapał za ciężki metalowy pręt i uderzył nim w porcelanową głowę lalki przedstawiającej córkę. Następnie zaczął metodycznie niszczyć pozostałą część figury.

Gdy skończył, opadł na krzesło i wtedy zauważył Jane stojącą w drzwiach pracowni.

– Odchodzę, James – powiedziała.

Przez chwilę nie mógł wykrztusić nawet słowa ani zareagować w jakikolwiek inny sposób. Po pewnym czasie zerwał się z krzesła i podeszedł do żony, łapiąc ją gwałtownie za dłonie.

– Nie pamiętałem, jakie miała palce... – powiedział. – Nie pamiętałem, jakie miała palce... – powtórzył jeszcze kilkakrotnie. – Były takie, jak twoje.

Jane wyrwała dłonie z dosyć silnego uścisku.

– Odchodzę – powtórzyła.

Kilka godzin później, gdy James Goodman opuścił pracownię i wrócił do domu, już jej nie było.

Następnego ranka James Goodman zaczął konstruować drugą lalkę Natalie, figurę, która tym razem miała być doskonała.

* * *

Było wczesne popołudnie jednego z deszczowych dni, jakie często przytrafiają się w połowie wiosny. Thony Jeffers był gotów do kolejnych prób mechanizmu, ale postanowił przełożyć je o kilka dni. Wykorzystując przerwę w opadach, wyszedł na długi spacer i zawędrował aż do Wielkiego Parku.

Pogrążony w myślach, nie zwracał uwagi na majestatyczne drzewa, deszcz, który znowu się rozpadał, ani na ludzi. Kilukrotnie nieomal wpadł na innych przechodniów. Minęły prawie dwie godziny, zanim postanowił wrócić do mieszkania, jednak podjąwszy decyzję, ruszył żwawym krokiem.

– Dobry wieczór, panno Johanson – powiedział, spotkawszy ją na schodach kamienicy.

– Dobry wieczór, panie Jeffers – odpowiedziała.

– Panno Johanson – odezwał się znowu, gdy już prawie zniknęła za drzwiami swojego mieszkania – mogę zadać jedno pytanie?

– Tak – odparła.

– Kim był ten samobójca, który zamieszkiwał tu wcześniej?

– Nazywał się... – odpowiedziała po dłuższej chwili – ...nazywał się Frank. Milton Frank. To było jakiś czas przed pana przybyciem... dokładnie dwa miesiące, co do dnia... Znalazłam go wiszącego... około siódmej rano... To był straszny widok... Powiedzieli później, że wisiał prawie dwanaście godzin.

* * *

W jednym z ostatnich dni wiosny słoneczna pogoda zachęcała do spacerów. James Goodman zdecydował się wyjść z domu po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni. A chociaż wyglądało to na zwykły zbieg okoliczności, po raz kolejny – trzeci od pamiętnego napadu – spotkał pana Jeffersa. Ten zaś tym razem zaczął nalegać, by wytwórca lalek udał się z nim do jego mieszkania.

James Goodman z początku odmówił, później jednak zmienił zdanie, gdy usłyszał, że mężczyzna chce mu zaprezentować „wyjątkowo niezwykle mechanizm, o którym wkrótce stanie się głośno”. Kiedy wreszcie znaleźli się w mieszkaniu Thony’ego, ów prawie natychmiast przystąpił do prezentacji.

Rozpoczął od starannego wykaligrafowania na niewielkim karteluszu nazwiska Milтона Franka. Następnie wyjął ze skrzyni sporą kostkę, w której jedną ze ścian stanowiła tarcza przypominająca zegarową, podzieloną jednak na dwadzieścia cztery pola. Thony precyzyjnie ustawił domniamaną godzinę śmierci samobójcy, a trzecią, dodatkową wskazówkę na właściwy dzień tygodnia. Na koniec wsunął przygotowaną wcześniej karteczkę do odpowiedniej szczeliny w mechanizmie i wprowadził w ruch niewielkie wahadełko.

Przez chwilę nie działo się zupełnie nic. A potem w oknie zaczęła drzeć szyba. Mimo iż pora nie była jeszcze zbyt późna, zapadła niemal całkowita ciemność. Nad mechanizmem zmaterializował się zamglony kształt ludzkiej postaci, po której pęgały niebieskie płomyki. James Goodman cofnął się gwałtownie w kierunku drzwi, a następnie odwrócił się i wybiegł z mieszkania.

* * *

Druga z kolei lalka została zniszczona, tak jak pierwsza, a James Goodman pracował już nad trzecią. Tym razem wiedział jednak, czego brakowało dwóm poprzednim, choćby nie wiadomo jak doskonałym: ludzkiej duszy. Jej brak sprawiał, że mogły być jedynie bladą kopią, namiastką prawdziwej Natalie.

Niemal zupełny brak snu i z rzadka jadane posiłki sprawiały, że James Goodman tworzył trzecią figurę w ekspresowym tempie, o wiele szybszym niż dwie poprzednie. Po upływie zaledwie trzech i pół tygodnia całość była już gotowa. Teraz pozostało jedynie tchnąć w nią życie.

* * *

Większość służby odeszła już dawno. James Goodman siedział w fotelu w salonie niemal pustego domu i rozważał sposoby, którymi mógłby skłonić Thony'ego Jeffersa do wypożyczenia na kilka dni jego mechanizmu. Ten bowiem był absolutnie niezbędny, aby dokończyć dzieła przywrócenia Natalie do życia. Niestety, wszystkie wymyślone metody perswazji wydawały się nie dość dobre, a argumenty niewystarczające. Po kilku godzinach – a zbliżał się już wieczór – podjął decyzję. Wstał, ubrał się w wyjściowy strój i wyszedł z domu.

Podjechał dorożką prawie do mieszkania Thony'ego, kazał wysadzić się o jedną przecnicę od właściwego celu. Ulice były już niemalże puste. Wszedł po schodach i energicznie zapukał do drzwi, które otworzyły się po krótkiej chwili.

– Nie – odpowiedział Thony, gdy tylko usłyszał, o co chodzi.

James Goodman spróbował jeszcze raz. Ponownie wyjaśnił, do czego potrzebuje mechanizmu, prosząc, błagając wręcz o jego wypożyczenie. Bezskutecznie.

– Proszę wyjść – powiedział wreszcie Thony.

Rozpoczęła się przepychanka. Thony, znacznie wyższy od drugiego mężczyzny, zaczął zdobywać przewagę, obaj powoli przesuwali się w stronę drzwi. Gdy wynik walki wydawał się już przesądzony, James złapał za jakiś leżący na stole przedmiot. Uderzył nim w głowę przeciwnika. Ten upadł na podłogę, a wokół jego ciała pojawiła się szybko rosnąca kałuża krwi.

James spojrzał na wciąż trzymany w ręku przycisk do papieru. Upuścił go, po czym podszedł do stołu, na którym znajdowała się skrzynka z mechanizmem. Zabrał ją i opuścił mieszkanie.

* * *

Wróciwszy do domu, James Goodman natychmiast zamknął się w swojej pracowni. Ustawił mechanizm naprzeciw lalki. Starannie wykaligrafował imię Natalie na kawałku papieru. Ustawił właściwą godzinę oraz dzień tygodnia. Wsunął karteczkę z imieniem do szczeliny z boku mechanizmu. Na koniec wprowadził w ruch wahadełko.

Światła przygasły. Szyby zaczęły drzeć. I nie stało się nic więcej. Powtórzył próbę. Później spróbował po raz trzeci. I czwarty oraz piąty...

Rankiem wreszcie się poddał, a potem ogarnęła go wściekłość. Cisnął mechanizmem o ścianę, ten zaś, uderzywszy o nią, rozpadł się na części. Jedna z nich – małeńkie kółko zębate – uderzyła w bok nosa lalki, zostawiając na nim niewielką ryskę.

Nad miastem zbierały się ciemne chmury. Pół godziny później rozpoczęła się burza.

* * *

Było już dawno po burzy, gdy późnym popołudniem James Goodman usłyszał natarczywe kołatanie do drzwi. Otworzył, nie czekając na służącego, ostatniego, który jeszcze pozostał. Przed wejściem stało dwoje policjantów. Ci zaś powiedzieli, że chcą zadać kilka pytań na temat zamordowania Thony'ego Jeffersa. Świadkowie zeznali bowiem, że znał ofiarę osobiście.

James Goodman zaczął się głośno śmiać.

– To ja zabiłem Anthony'ego Jeffersa – powiedział, gdy wreszcie przestał. Miał wrażenie, jakby stał obok samego siebie, a te słowa wypowiadał ktoś zupełnie inny. Ten drugi on.

Policjanci wydawali się całkowicie zaskoczeni usłyszanym wyznaniem

* * *

Proces rozpoczął się kilka dni później. Wobec kilkukrotnie potwierdzonego przyznania się do winy wszyscy oczekiwali oczywistego wyroku. Jane Goodman nie pojawiła się na jego ogłoszeniu.

* * *

– Zaskakujący wyrok sądu! – wołał głośno gazeciarz. – James Goodman umieszczony w zakładzie dla obłąkanych! Koniec procesu w sprawie zabójstwa! Zaskakujący wyrok sądu...!

Jane Goodman zatrzymała chłopca sprzedającego gazety. Poprosiła o jeden egzemplarz.

– Ile się należy? – zapytała.

– Czwartą szterną – odpowiedział gazeciarz.

Wręczyła mu ćwierćszternową monetę.

Chłopiec z gazetami zaczął ponownie nawoływać.

– Koniec procesu w sprawie zabójstwa! James Goodman umieszczony w zakładzie dla obłąkanych...

* * *

Miesiąc później Jane Goodman zdecydowała się wrócić do domu przy alei Admirała Tennysona. Żadnego ze służących nie było, wszystko pokrywała warstewka kurzu. Kobieta obeszła wszystkie pokoje, a na koniec zajrzała do dawnej pracowni męża. Podeszła do umieszczonej pośrodku pomieszczenia figury Natalie, przyjrzała jej się uważnie. Przesunęła palcami po niewielkiej ryse na lewej stronie nosa.

Zmieniła decyzję. Po chwili opuściła dom, a następnego dnia zamieściła w gazecie ogłoszenie o jego sprzedaży wraz z całym wyposażeniem i zawartością. Cena wywoławcza wynosiła pięćset tysięcy szternów, ostatecznie sprzedano go za kwotę o trzysta tysięcy większą.

SZAFA

3

Na siódmym piętrze znajdowało się coś, o czym nikt nie wiedział. Coś, czego wszyscy z całą pewnością pragnęli, ale bali się przyznać. Ja tam poszedłem. Obskurna klatka schodowa, niewielka sień i drzwi – oczywiście zamknięte na kluczyk. Jak zawsze. Nie zrozumcie mnie źle: znalazłem się tu pierwszy raz. Wiedziałem jednak, że tego typu miejsca po prostu MUSZĄ być zamknięte. Skąd wiedziałem? Wierście, lub nie, ale na to pytanie po dziś dzień nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Kiedy już pokonałem skrzypiące schody, stanąłem naprzeciwko drzwi. TYCH drzwi. Odczułem niepokonowaną potrzebę ucieczki. Jednocześnie nogi jakby wrosły w podłogę i nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu. Jedyne, czego chciałem, do czego rwała się moja świadomość, to poznanie sekretu zamkniętych drzwi. Pragnąłem i bałem się zarazem. Coś, co znajdowało się za drzwiami, uderzyło mnie olśnieniem. Myśli przeleciały mi przez głowę z prędkością światła. Serce załomotało, straciłem oddech, do twarzy nagle napłynęła krew. Nogi w dalszym ciągu zdawały się nie przyjmować do wiadomości dynamiki doznań reszty ciała i uparcie tkwiły w miejscu. W pamięci, jedna po drugiej, poczęły wyświetlać się sceny, jak w fotoplastykonie. Zaczęło się od najwcześniejszego dzieciństwa. Najpierw trójkołowy rowerek, na którym niezrównanie pokonywałem kolejne zakręty obszernych korytarzy rodzinnej rezydencji. Mimo protestów guwernantki mknąłem jak zawzięty rajdowy kierowca samochodu.

TRZASK!

Oto siedzę w klasie. Moja pierwsza styczność z rówieśnikami nastąpiła stosunkowo późno. Mama postanowiła w końcu, wiedzioną radą doktora Rottenbauma, posłać mnie do szkoły. Doktor utrzymywał opinię o zbawiennym dla rozwoju wpływie towarzystwa innych dzieci. W szkole poznałem moją jedyną, tragiczną miłość.

TRZASK!

Niewiele później, rozdanie świadectw. Stoimy spokojnie w dwuszeru w odświętnych mundurkach. Cieszę się, że udało nam się skryć w drugiej linii. Trzymamy się za ręce. Smukłe, chłodne palce, zamknięte wewnątrz mojej dłoni, poruszają się niespokojnie jak motyle. Kreślą obietnice, opowiadają historie. Wyznają każdy grzech, który nastąpił, i każdy, który nas czeka. Gdy podchodzi nauczyciel, obaj w tej samej chwili zwalniamy uścisk i po kolei wyciągamy dłonie po nasze wzorowe cenzurki.

TRZASK!

Jestem na pogrzebie. Zimny listopad łamie gałęzie. Nie słyszę nikogo i niczego. Nie dociera do mnie, gdzie jestem ani co się dzieje. Płakałem, o tak. Teraz moje policzki wytrawione są solą pochodzącą z poprzednich łez. Nie wiem i nie obchodzi mnie, co mówią podchodzący do mnie ludzie. Ci sami, którzy nas prześladowali, teraz poklepują po ramieniu. Strata. Wraz z NIM miała ta część mnie, która mnie z nimi łączyła. Która łączyła mnie z ludźmi.

TRZASK!



SZAFKA
RYS. P. SIMLAT

Minęło niewiele czasu, a wizje spowalniają. Jest wigilia Nowego Roku. Stoję samotnie pośród barwnego tłumu. Wylewam do jeziora całą czarkę tradycyjnej nalewki. Doktor Rottenbaum wnikliwie mnie obserwuje, czuję palący wzrok na skórze. Wyobrażam sobie jego szpony, powoli zaciskające się na mojej czaszce, otwierające ją. W końcu na to właśnie czeka, czyż nie?

TRZASK!

Jestem w jego szponach, jestem cały. Albo, jak on sam zwykł mawiać, pod jego „opieką”. Wczoraj wstrząsy, jutro bicze wodne. Moje ciało jest koślawe, z ust kapie ślina. Nie potrafię przypomnieć sobie, co robiłem przed paroma minutami, a to ogromnie frustrujące. Doktor pragnie mnie „uleczyć” z „nieczystych skłonności”. Pytam tylko, jak mogę owe skłonności odczuwać, skoro nie jestem w stanie choćby określić, gdzie głowa, a gdzie cała reszta, w tym przyczyny. Wielce to mętne i męczące. Powoli zapadam się w sen bez śnienia, na jawie. Wpatruję się w swoje ręce – to już nie są wcale ręce. Na moich oczach z palców wyrastają wątłe, suche gałęzie, bez jednego listka. Trzeszczą i łamią się, zupełnie jak gałęzie karłowatych dębów na JEGO pogrzebie.

TRZASK!

Znów jestem wolny. Według doktora – całkowicie wyleczony. Tylko czemu, idąc ulicą, w każdym jasnowłosym, roześmianym chłopcu dostrzegam JEGO? Czy na to doktor miałby odpowiedź? Czy ja tę odpowiedź na pewno chciałbym poznać?

TRZASK!

Zrzunowałem się. Wierzyście zabrali mi rodzinne dobra za hazardowe długi. Teraz świat oglądam z okienka sutereny, gdzie wokół roznosi się zapach uryny. Kamienica ma siedem pięter. Na pierwszym rezyduje czynszarka, która zauważa tylko tych płacących za dwa miesiące z góry. Jestem kurzem. Jestem niewygodnym istnieniem na pograniczu. Jestem pograniczem istnienia, stałem się ciszą bez oddechu. Stałem się strachem na chwiejnych patykach. Stałem się oczekiwaniem.

TRZASK!

Stoję na siódmym piętrze i wpatruję się w DRZWI. Jeżeli staniecie wraz ze mną, drzwi będą milczeć. Jestem sam i do mnie przemawiają.

Czy potrafię zrozumieć ich język? Na oblażącej z farby ścianie wisi zegar. Brakuje mu jednej wskazówki, a pozostałą ułamano w niecodzienny sposób – jest rozdwojona. Wskazuje naraz dwie różne godziny. Nie jestem więc w stanie skupić należycie wzroku, by określić czas. Jestem czekaniem, a co znaczy czekanie, gdy czas uległ usterce?

TRZASK!

Wyciągam ramię, dłoń mi drży. Powoli łapię za klamkę. A może jednak?

Drzwi bez oporu ustępują. Ustępuje też stopniowo moje zdumienie. Klucz jednak nie był potrzebny. Czy aby na pewno?

Otwieram je bardzo wolno, sadoomasochistycznie dawkując sobie napięcie.

Zrozumiałem.

To nie ja stałem przed drzwiami.

Z nareszcie uwolnionymi nogami, przekraczam próg.

Wychodzę.

TO TYLKO ZABAWA

4

*Nie boję się drogi
Powinniście ją zobaczyć,
Powinniście jej spróbować
W zawilościach ludzkiego wnętrza
A wszystko będzie dobrze*

Zabierze je wiatr

*Twoją wiadomość do Wielkiej Niedźwiedzicy
I trajektorię biegu
Do chwili aksamitnej
Nawet jeśli niczemu nie służy*

*Zabierze je wiatr
Wszystko zniknie
Zabierze nas wiatr*

(...)

*Genetykę w bandolierze
Chromosomy w atmosferze
Taksówki do galaktyk
I mój dywan unoszący je*

*Wszystko zniknie,
Zabierze nas wiatr*

Nor desir

1. Wojny

Kiedy niewielki granat zakołysał się na jej stopie, Lulu przysięgała w myślach, że jeśli nie wybuchnie i będzie mogła zwiać, już nigdy, przenigdy nie zrobi nic, za co mogłaby się nazwać złym człowiekiem. To, że kilka lat później niespecjalnie zmieniła swój styl bycia, nie wiązało się właściwie z tym, że ostatecznie granat pozbawił ją większości lewej nogi. Podobną sytuację miała jej siostra, kiedy „terroryści” albo któryś ze schowanych w lesie „partyzantów” chciał odciąć jej ucho – zaklinała się cicho, że już nigdy nic nie ukradnie ani nie powie „co za gówno”, słysząc którąś z piosenek Elvisa Costello, co doprowadzało Lulu do białej gorączki. Nie miała jednak dużego wyboru, w końcu honor to honor.

– Tnij! – skandował wtedy Szogun do ogarniającego włosy Igi kolegi. – Tnij!

Dziecięce gry potrafią być bardzo niebezpieczne.

Lato obrzmiewało dobrobytem, prawie niezauważalnie, ale złowieszczo zapowiadając swój nikły koniec. Tego dnia kościelne dzwony rozgoniły gromadkę, sprawiając, że wszyscy popędzili na wieczorną audycję.

Jeszcze niedawno kanał czwarty odbierał tylko z niewysokiej białej wieży nieczynnego młyna, do której przyjaciel Igi wrzucił nawet stary materac, ale w końcu jakiś wkurwiony żołnierz rozwalił z helikoptera dach i pokaźną część ściany. Lulu bardzo żałowała, że gnojek zwał zanim zdołała go dorwać, bo w każdy czwartek wieczorem spotykali się z przyjaciółmi na górze, nasłuchując nowszych i starszych brzmień. Później szukała tej stacji w różnych miejscach.

Ludzie mówili, że wojna jest tu tylko na chwilę i mieli rację. Pożarła kilka budynków, zostawiła trochę trupów, a potem wszystko było jak dawniej. Jednak prawdziwe wojny toczyły się nadal, podczas zabaw i gier, które scalały gromadkę w długie dni i jeszcze dłuższe wieczory.

Nad morzem bywało niebezpiecznie. Kiedy fale były wystarczająco wysokie, potrafiły ponieść ich na drugi koniec plaży albo jeszcze dalej; promienie słońca prześwitujące przez słoną wodę, która zalewała ufnie twarze, zatykała uszy i wlewała się do gardel, były wtedy jak inne planety, czekające tylko, żeby zwalić się komuś na głowę.

2. Poważne problemy

Wiatr wiał z zachodu, nieco ułatwiając Lulu kuśtykanie przez główną ulicę. Mimo wczesnego wieczoru większość okiennic była pozamykana. Niektórzy mieszkańcy o tej porze już spali, a inni dopiero budzili się do życia.

– Cześć, Lulu – zdziwił się Greg, kiedy elektryczne drzwi do wypożyczalni filmów otworzyły się, wpuszczając do klimatyzowanej nory odrobinę świeżego powietrza.

– Zabieraj dupę i chodź pod drzewo, co ty na to? – powiedziała dziewczyna, wymachując brzytwą. – Zabawimy się, jest sobota!

Greg spojrział na znajomą i zaraz odwrócił wzrok, rozjaśniona w pierwszej chwili jak na widok kogoś dawno niewidzianego twarz po sekundzie stężała. Pokręcił głową.

– Jestem zmęczony – tłumaczył się. – Poza tym mam kilka rzeczy do zrobienia wieczorem... Dlaczego wczoraj nie zadzwoniłaś, że będziesz, to bym jakoś to rozplanował.

Spojrzała na niego ostrożnie i pokiwała, po czym spytała:

– A jutro?

– No nie wiem, raczej jestem zajęty. – Popatrzył koleżance w oczy i znów pokręcił poważnie głową. – Poza tym wiesz... myślimy z Karoliną, żeby się przenieść... na jakiś czas... gdzieś indziej.

Greg spuścił wzrok. Czyli się zaczęło, westchnęła dziewczyna w myślach.

– A ty, Lulu, co zamierzasz?

Spojrzała na niego wrogo.

– Ja ten kraj kocham! – wrzasnęła i wyszła.

Na zewnątrz powiał trochę chłodniejszy wiatr. Miarowe stukanie drewnianej nogi o asfalt uspokajało. Z jakiegoś okna dolatywały dźwięki pijackiej klótni i miejskiego radia. Lulu szła przez chwilę brukowaną uliczką, aż wyszła z przytulnego centrum. Tutaj dziury w chodniku były jakby częstsze, a zapach mokrych futer gryzoni i ściekowych odpadów mocniejszy. Intensywny był też zapach morza, a właściwie feter ryb gnijących w zakładach przetwórczych przy porcie. W tamtej okolicy mieściło się kilka spelun, usytuowanych jedna obok drugiej, niedaleko starych fortyfikacji. Lulu bywała tam częstym gościem. Przeważnie w przyportowych barach przesiadywali rybacy, czekający na nocny połów, albo wyglądające na bezdomnych typy spod ciemnej gwiazdy, których twarze sprawiały wrażenie, jakby balansowali na granicy szaleństwa. Czasem co prawda zjawiał się tam jakiś gość nie wiadomo skąd, o całkiem normalnej aparycji, który chyba sam nie wiedział, co w tym miejscu robi. Ale nieczęsto. Lulu zaciągnęła się mocniej nocnym powietrzem i skierowała w tamtą stronę.

3. Powinniśmy żyć jeszcze raz

– Chłodno się robi – powiedziała Iga, dokładając do ognia liściastą gałąź. Płomienie zaskrzęczały, a gęsty dym uniósł się, przesłaniając na chwilę kutry na morzu.

– Genialne posunięcie – zakaszła Lulu.

Z tyłu, gdzieś za wydumą, zawyło jakieś dzikie zwierzę. Lulu otuliła się szczelniej kocem.

– Byłam u Grega.

Iga pokiwała głową i zabrała Lulu butelkę.

– Myślałam, że jak ktoś pracuje w wypożyczalni, to ma większy luz – powiedziała.

Lulu parsknęła śmiechem.

– No przecież tam całe dnie lecą głupie komedie.

– Dawaj flaszkę.

Lulu pociągnęła spory łyk i włożyła stopę do ognia, spojrzawszy oczekująco na siostrę.

– No, kto pierwszy wymięknie! – powiedziała, nie doczekawszy się reakcji.

– Daj spokój – burknęła Iga. – Nie jesteśmy już dziećmi.

– I co z tego?

– Dobrze wiesz!

Lulu zabrała stopę z ognia, krzywiąc się nieznacznie. Skóra przypaliła się nieco i dziewczyna wiedziała, że przez jakiś czas stopa będzie ją trochę boleć.

– Dawaj – powiedziała Iga i połała przypalone miejsce chłodną wodą z plastikowej butelki.

Woda od razu przyniosła ulgę, ale przez chwilę jeszcze szczypało. W zasięgu wzroku przepływał właśnie statek, świecąc w czarną, wodną przestrzeń pod sobą reflektorami i kolorowymi lampkami. Pod powierzchnią wirowały rzucone w morze przez rybaków rozplątane rybie ściery, którymi żywiła się reszta mieszkańców tej krainy.

– Nie rozumiem tego.

– Może zrozumiesz, jak sama znajdziesz swój sposób na życie...

– Swoój sposób? – Lulu uniosła brwi. – Czyli bezpieczne mieszkanie, męża i psa, że taki sposób? No to, kurwa, podobne są do siebie te swoje sposoby.

– A ty znowu dramatyzujesz – zachichotała Iga.

Lulu napiła się i ochłonęła trochę.

– Nie można stać cały czas w miejscu – powiedziała siostra. – To zbyt niebezpieczne.

Iga miała jasnobrązowe włosy, błękitne ślepia i często mówiła takie rzeczy.

– A kto tu mówi o staniu w miejscu – burknęła Lulu do butelki. – Ja nie mówię o staniu w miejscu, tylko o tym, kim jesteś naprawdę. Po prostu nie wiem, czemu uważasz, że to jakiś pieprzony etap. Przecież to było prawdziwe piękno.

– No dobra, ale bez przesady. Poza tym nie tylko piękno. Spójrz na siebie, jesteś prawie w kawalkach.

– Teraz to ty przesadzasz...

– Dobra, ale czasami trzeba po prostu zostawić to za sobą, inaczej się idzie wykończyć. A poza tym wcale nie uważam, że to tylko etap, przynajmniej nie do końca... i w ogóle...

– Zresztą wam też się trochę dostało – powiedziała Lulu, wskazując głową na rękę siostry. Brakowało w niej jednego palca.

Dziewczyna dołożyła do ogniska.

W trawie na wydmie coś się poruszyło. Iga wiedziała, że jeśli tej nocy w okolicy są koty, siostry będą miały przesrane. Ostatnio zwierzęta przestały bać się nawet ognia. Drobne gryzoni, jak kuny czy skunksy, wychodziły na ulice już od dawna, buszując w śmietnikach i śpiąc w rurach ciepłowniczych. Oczywiście konar wyjęty z ogniska wcale nie był złą bronią, ale skoro Lulu wsadziła już swoją jedyną kończynę do ognia, sprawa była trochę utrudniona, przynajmniej w kwestii ucieczki.

Trawy zaszumiały gwałtowniej i coś się w nich zakotłowało. Z gardła Igi wydobył się zduszony okrzyk, ale w chwili, gdy Lulu próbowała wyjąć z ogniska konar, z ciemności wyskoczyło jakieś małe zwierzę, które przeraziwszy się jeszcze bardziej niż siostry, uciekło w podskokach. Iga zachichotała i położyła się na plecach przy ogniu.

– Chyba najbardziej będzie mi brakować naszej muzyki – westchnęła Lulu.

W morze spadła kometa albo spadająca gwiazda.

– Ciekawe, czy dałoby się to wszystko zrobić inaczej.

Iga przewróciła się na bok i spojrzała na siostrę.

– Powinniśmy żyć jeszcze raz – westchnęła.

3. Nie boję się drogi, powinniście jej spróbować

Głuchy odgłos laski stukającej o twardy jak jasna cholera bruk niósł się echem po pustych ulicach. Obłoczek pary ulatywał z ust Lulu, kiedy w środku nocy stanęła pod swoim rodzinnym domem. Iga otworzyła, zanim siostra zdążyła zapukać.

– W dzień nie mogłaś przyjść? – warknęła od progu i otworzyła szerzej drzwi.

Lulu wzruszyła ramionami i rozpięła płaszcz.

– Skąd wiedziałas, że już jestem?

Iga uśmiechnęła się głupio.

– Tak stukoczesz, że obudziłabyś nawet babcię Lidkę, gdyby cmentarz był bliżej.

Lulu skrzywiła się, lekko przerażona tym obrazem.

Weszła w głąb korytarza i prawie przewróciła się o buty stojące pod ścianą.

– Kurwa – zaklęła, łapiąc równowagę. – Ale burdel!

– Cicho, matkę obudzisz.

Obydwie zerknęły w stronę drzwi na końcu korytarza. Odgłosy wiercenia się utwierdziły siostry w przekonaniu, że wejście Lulu było jednak trochę za głośne.

– To ty, Renatko? – dobyło się z pomieszczenia.

– Chyba za późno. – Iga wzruszyła ramionami. – Chodź na górę.

Wdrapały się po schodach, przytrzymując białej lata temu ściany, i dopiero na piętrze zapaliły światło.

– Zdjęłaś obrazy Roberta? – zdziwiła się Lulu, patrząc na trochę jaśniejszy, kwadratowy ślad niedaleko wejścia do pokoju siostry.

– To nie ja. Zresztą już ze dwa tygodnie temu.

– Nie widziałam!

Iga spojrzała na nią z wyrzutem.

– Mogłabyś się pojawić chociaż raz na kilka dni. Albo powiedzieć, gdzie łazisz. Matka prawie odchodziła od zmysłów.

Lulu parsknęła śmiechem.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda, przecież się przyzwyczaiła i ma wyjebane.

Iga też zaczęła chichotać.

– No dobra, może trochę, ale nie mów, że się przyzwyczaiła. Wcześniej bywałaś tutaj częściej – dokończyła z lekkim wyrzutem.

– Mieszkałam tu. – Lulu wzruszyła ramionami.

Iga uniosła brwi i spojrzała na siostrę z przenikliwością orla wężącego zdobycz.

– A teraz gdzie niby mieszkasz?

Lulu wzruszyła ramionami i weszła do pokoju. Niedawno rozłożyła namiot na wydmach i dopóki było w miarę ciepło całkiem sobie chwaliła swoje tymczasowe lokum. Na szczęście w pobliżu znajdował się trochę tylko zasyfiony bunkier, w którym przy odrobinie inwencji można było przezimować, ale dziewczyna nie sądziła, że będzie taka potrzeba. Na razie potrzebowała tylko chwili oddechu.

– Zawsze jakoś sobie radziłam. Może zostanę kilka dni, to ci pomogę z tym całym... syfem.

Iga przeknęła ślinę. Wstała i zaraz przewróciła się o jakieś pudło leżące w przejściu.

– Chciałam ci zrobić herbatę, ale teraz to pudło – zachichotała.

Przez twarz Lulu przemknął chytry uśmieszek.

– Przewidziałam to.

Iga wstała, otrzepując się z pierza, które wyleciało z kartonu i spojrzała na siostrę wyciągającą z kieszeni płaszcza zabrudzoną butelkę. Lulu uśmiechnęła się tryumfalnie, po czym postawiła winiacza na taborecie i z ulgą opadła na poduszkę.

Iga spojrzała na butelkę z niewielką dozą ostrożności i usiadła na łóżku.

– No co, napijemy się ostatni raz – powiedziała Lulu cicho.

Siostra skrzywiła się na te słowa, ale pokiwała głową i poszła szukać tuszu do rzęs. Lulu rozejrzała się wokół. Przy ścianie, jedno na drugim, stały pudła, wyglądające jakby zaraz miały spaść na poplamiony dywan.

– Mam. – Iga wzięła butelkę i tuszem spróbowała wepchnąć korek do środka. – Mocno się trzyma dziadostwo... Gdzie ty to kupiłaś?

– Morze wyrzuciło na brzeg.

Spojrzała na Lulu z niesmakiem.

– A mi tu latają helikoptery – powiedziała, unosząc powiekę, po czym docisnęła tusz z całej siły i wreszcie korek wśliznął się gładko w dół szyjki. Upiła łyk i podała siostrze.

Lulu rozejrzała się i sięgnęła do odtwarzacza CD.

– Co masz za płytę? – zapytała, otwierając urządzenie. – Kurwa, „Duran Duran”? Jakiego ty szlizu słuchasz?!

– Spieprzaj, sama niedawno nuciłaś „Come Undone”, słyszałam!

– Taa, chyba przez sen.

– Może i przez sen, ale śpiewałaś aż ci się uszy trzęsły!

Lulu zaniósła się śmiechem. Iga wstała i sięgnęła do półki nad głową, po czym rzuciła siostrze inną płytę i usiadła ponownie. Lulu zdążyła już opróżnić jedną czwartą butelki, i zorientowawszy się, szybko podała ją siostrze, a sama wsunęła płytę do odtwarzacza, po czym wcisnęła „play”. Dźwięki zadudniły, wprawiając powietrze w drganie. Iga poderwała się i ściszyła.

– Matkę obudzisz – wytłumaczyła i przyssała się do butelki. Zegar na dole odezwał się i Lulu zadrżała. Było chyba koło pierwszej.

– To jest zajebiste – powiedziała Iga, kiwając się w rytm muzyki, gdyż wino trochę już poszło jej do głowy.

– Taa – rzuciła w zadumie Lulu, zabierając butelkę.

– Je ne papier de la rute nanananananana – zaczęła wyć Iga.

– Nie papier, leszczu, tylko pas peur – powiedziała Lulu. – Pa per się mówi!

– Oj, zamknij się i śpiewaj!

– Je ne papier de la rute...

Lulu pogłośniła dźwięk, kiedy wokalista doszedł do refrenu. Gdy ściszyła ponownie, śpiewała już tylko Iga.

– To chyba piosenka o tobie – powiedziała Lulu, gdy utwór się kończył.

– O mnie? – zdziwiła się Iga.

– No co, nie boję się drogi, powinniście spróbować. Przecież właśnie idziesz...

Iga machnęła ręką.

– Ty też przecież ...!

– Nieprawda, a poza tym to droga przez mękę. – Lulu uśmiechnęła się lekko i również machnęła ręką. – Zresztą zawsze szliśmy razem, tylko tobie się wydawało, że ja idę bardziej albo szybciej.

– Bo ty kuśtykałaś, dlatego było głośniejsze – zarechotała Iga.

– A teraz właśnie nigdzie się nie ruszam.

Iga odwróciła się do okna.

– To, że nigdzie nie jedziesz, nie znaczy, że nie idziesz dalej bardziej niż my wszyscy.

Lulu skrzywiła się nieznacznie.

– A to, że ty idziesz ze wszystkimi, nie znaczy, że przegrałaś.

Płyta przeskoczyła na następną piosenkę, która była jeszcze bardziej popieprzona. Czworak, w którym mieszkaly siostry, był usytuowany niedaleko portu i zawsze rano w okolicy słychać było mewy. W nocy z kolei, jeśli otworzyło się okno, czuć było zapach słonego morskiego powietrza z lekką nutą nieczystości.

– Zabierasz płyty?

Iga pokręciła głową.

– Wiesz, że to nie będzie dobre.

Lulu utkwiała wzrok w taborecie i spytała, kiedy wyjeżdżają.

– Marcin ma przyjechać w środę, ale wiesz, nie wiadomo, jak się ułoży...

Wokalista zawył, jakby ktoś kroił go żywcem. Lulu wzdygnęła się i wyłączyła płytę.

– Dawaj jakąś naparzanekę, bo obie sobie tutaj podetniemy żyły i tyle z tego wszystkiego będzie.

Iga, na której kolanach czekały już kolejne dwie płyty, wyprężyła się jak żołnierz i rzuciła je w stronę siostry. Z głośnika zaryczało „Motorhead”.

– Lulu, a co będzie z tobą? – zapytała Iga po trzech piosenkach.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie wyląduję w rynsztoku – zaśmiała się całkiem wesoło, ale była w tym śmiechu jakaś niepasująca nuta. – Bo nie będzie tu już nikogo, kto mógłby mnie z tego rynsztoka wyciągnąć... Ale myślę, że będę żyć, dopóki jest jeszcze cokolwiek, dla czego warto. A jak to się skończy, to po prostu strzelę sobie w łeb.

Iga zatkała uszy.

– Lulu, zamknij się!

– A ty właściwie gdzie jedziesz, co? Do Amsterdamu, do Kanady?

– Nie udawaj, przecież dobrze wiesz!

– Dobra, co za różnica.

Na schodach dało się słyszeć jakiś ruch i ciężki oddech. Lulu wstała, opierając się o ścianę. Na korytarzu niedaleko pokoju zapaliło się światło.

– Renatko? – usłyszały coraz bliższy piskliwy głos. W otwartych drzwiach stanęła matka w koszuli nocnej i szlafroku. Iga szybkim ruchem schowała butelkę za plecy.

– I czemu mnie nie obudziłyście, że jesteście?

– Mamo, jest środek nocy – powiedziała Iga.

Matka machnęła ręką i spojrzała na Lulu.

– Na ile zawitałaś w nasze skromne progi, co, dziecko?

Lulu pokręciła głową, wciąż nachmurzona.

– Kochanie, przygotowałam ci pościel na drogę. – Matka zwróciła się do Igi. – Oj, córciu, córciu! Iga przewróciła oczami. Matka kiwała przez chwilę głową, uśmiechnięta cholera wie do jakich myśli. Potem spojrzała na drugą córkę.

– A ty, Renatko?

Dziewczyna sięgnęła do opartej o poręcz łóżka laski i spojrzała w gniewnie na zatroskaną twarz matki.

– Nazywam się Lulu, do jasnej cholery!

Poprawiła płaszcz i minęła nierozumiejącą postać w drzwiach. Potem w mieszkaniu rozległ się tyko pobrmiewający w nocnej ciszy stukot drewnianej nogi uderzającej o schody.

4. Ballada o skunksach

Lulu wylądowała więc w rynsztoku. No, może nie do końca w rynsztoku, ale pewne jest, że grudniowym porankiem siedziała na murku przy opuszczonej ulicy, otulona w ciepły płaszcz, który dał jej Greg, zanim wyjechał.

Tamtego dnia zaatakowały ich skunksy. Lulu siedziała niedaleko portu, obserwując statki i zastanawiając się, co najtańszego można kupić na obiad, ponieważ kończyły się jej pieniądze, kiedy ktoś kucnął przy niej i walnął w plecy z głośnym okrzykiem:

– Sieeeema!

– Greg, kurwa, ale z ciebie kretyn! – wrzasnęła, łapiąc się za serce.

– Sorry – powiedział i uśmiechnął się głupio, po czym podał jej kawę w papierowym kubku. – Masz. Lulu przyjęła napój i zmrużyła oczy w promieniach południowego słońca.

– Masz płaszcz – powiedział po chwili. – Mnie już nie będzie potrzebny.

– Dzięki.

Po moło przechadzały się grupki turystów, jedzących chipsy, które z torebek namiętnie wyszarpywały im mewy. Nadlatywały z krzykiem, kiedy nikt się nie spodziewał, i zabierały łup, po czym z głośnym wrzaskiem odfruwaly, żeby usiąść na pobliskim murku wystarczająco daleko od wściekłych ludzi.

– Chodź, zrobimy ognisko na plaży ostatni raz. Usmażymy jakąś fasolę i w ogóle.

Greg zastanawiał się przez chwilę nad tą propozycją.

– W sumie to nie wiem... Jakbym się zdążył spakować do końca, a Karolina pójdzie do starych się pożegnać... Moze...

Lulu parsknęła śmiechem. Greg wyjął z kieszeni kurtki jakąś paczkę.

– Myślałem, żeby nakarmić mewy, ale chyba wszystkie poleciały pozować do zdjęć.

– Taa...

Słońce skryło się na chwilę za chmurami i powiał chłodny wiatr. Przy śmietnikach niedaleko coś zaczęło szeleścić. Lulu zamarła.

– Greg?

– Ćśś...

Odgłosy nasiliły się. Lulu wstała z trudem, Greg też, choć spokojniej. Za śmietnikiem rozległy się odgłosy batalii; coś kotłowało się w kontenerach, i z tego, co Lulu słyszała, było to coś potężnego. Kiedy rozległ się trzask, zadrżała.

– Nie mam żadnej broni – zaczęła histeryzować.

– Co ty pierdzielisz – skarcił ją kumpel. – Nic się przecież nie dzieje, to najwyżej jakieś bezdomne koty.

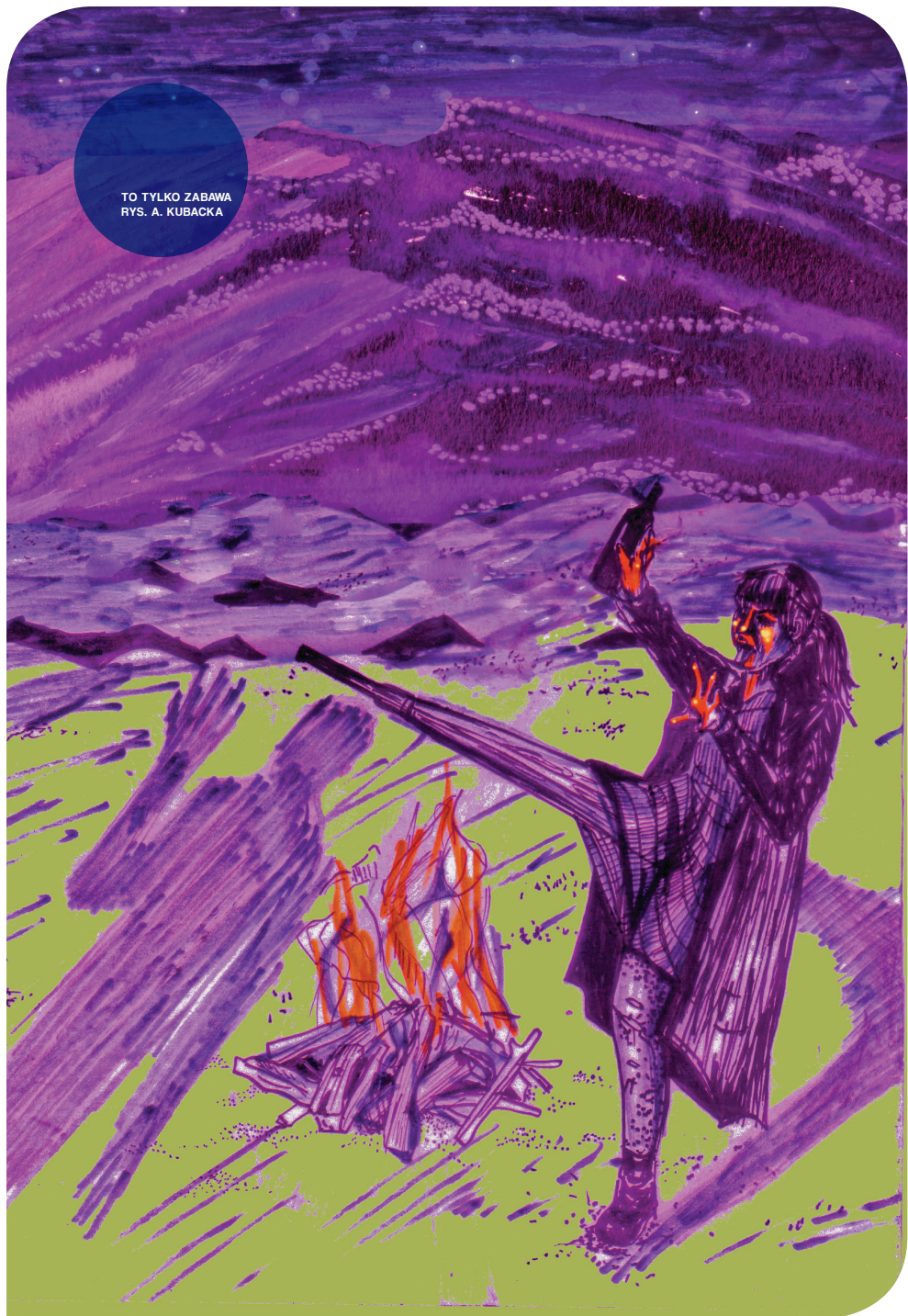
Lulu spojrzała na niego krytycznie i w tej samej chwili stado średniej wielkości zwierząt wypadło zza stalowej zasłony. Greg wrzasnął, a stworzenia, najwidoczniej kierując się w stronę źródła dźwięku, z dzikim warceniem zaczęły powoli kroczyć w stronę przyjaciół.

– O kurde, Greg, dawaj zapalniczkę! – wrzeszczała Lulu, przetrząsając kieszenie płaszcza w poszukiwaniu zapalek.

– Uspokój się! – powiedział Greg trochę nerwowo. – To tylko kilka bezdomnych kotków, nie rozumiesz, czemu się przejm... aaa!!!

Chłopak krzyknął, kiedy jedno ze zwierząt najwyraźniej nie wytrzymało napięcia i skoczyło w jego stronę, wpijając mu się w ramię.

TO TYLKO ZABAWA
RYS. A. KUBACKA



– Ała! – wrzeszczał. – Zabierz je stąd!

Nie zdążył nawet dokończyć, gdy kolejne stworzenie skoczyło i wbiło się pazurami oraz zębami w okolice jego twarzy. Lulu zaklęła i w końcu znalazła zapalki.

– Won! – wrzasnęła, świecąc nikłym płomieniem. Dopiero kiedy prawie przytknęła ogień do sierści skunksa przylepionego do ramienia kolegi, zwierzęta dały za wygraną i rozpiechły się nagle, choć niechętnie.

Greg osunął się na ziemię i hiperwentylował. Lulu utkwiała wzrok w porcie, również oddychając ciężko.

– Koty czy nie, to było, kurwa, niebezpieczne.

Greg wzruszył ramionami.

– Dobra, nic się nie dzieje – powiedział po chwili, ocierając rękawem zakrwawiony policzek. Lulu pokiwała głową i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się dwa razy i podała go koledze.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

– Nie wiem – westchnęła Lulu. – Boję się, że zwariuję, bo moje oczy są zupełnie przezroczyste.

Zza chmur znowu wyszło słońce, a z pobliskich budek dochodziły zapachy pieczonego jedzenia. Minuty mijały leniwie, aż w końcu nawet w porcie zabrakło turystów. Na morzu statki prześcigały się w wydawaniu odgłosów.

– Nie zwariowałaś, Lulu – powiedział Greg. – To chyba naprawdę były skunksy.

– Wiem.

Gdy nadszedł wieczór, chłopak otrząpał się, uściśkał przyjaciółkę i oznajmił, że jak ze wszystkim się wyrobi, wpadnie dzisiaj na ognisko.

Dobrze wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy. Tak samo jak Igi, Szoguna i tych śmiesznych, papierowych torebek, w które zawsze wkładali butelki, gdy szli na miasto pić wino.

Siedziała więc w grudniu na ulicy i coraz częściej rozważała opcję strzelenia sobie w łeb. Co prawda słońce odbijające się w szybach zamkniętych sklepów nadal miało niesamowite kolory, a w nocy latarnie oświetlały bezdomne skunksy blakające się pod stopami, ale Lulu wiedziała, że za jakiś miesiąc wszystko będzie raczej ponure, a lampiony, które robili z przyjaciółmi z kuchni i łupin kokosów, już nigdy nie będą świecić w tym mroku. Z ponurych myśli wyrwał ją cienki głos rozbrzmiewający gdzieś niedaleko.

– Dzień dobry, złociutka.

W pierwszej chwili Lulu, nadal zatopiona w rozważaniach, nie zwróciła na niego specjalnej uwagi, ale kiedy powitanie powtórzyło się, bardziej już natarczywie, odwróciła leniwie głowę w prawo. Obok siedziała, oddychając ciężko, staruszka na wózku inwalidzkim.

– O, dzień dobry... – powitała ją Lulu bez entuzjazmu, próbując jednak przypomnieć sobie, skąd kojarzy tę schorowaną twarz.

Babcia odkaslnęła i powiedziała:

– Widziałam cię kilka razy u „Pijanego Jana”. Chyba dawno tam nie byłaś.

Lulu uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Przypomniała sobie, że faktycznie widywała staruszkę w tej spelunie dla rybaków.

– Ma pani fajkę? – spytała.

Starsza pani pokręciła głową. Słońce zagrzało trochę mocniej i Lulu rozpięła płaszcz.

– Mam prośbę – zachrypiała kobieta, grzebiąc w torebce. – Muszę kupić kwiaty, a chyba nie doczłapię, bo odpadają mi już ręce od kręcenia tych kółek.

– Do kwaciarni? – zdziwiła się Lulu. – Przecież to tuż za rogiem.

Babka westchnęła cierpiętniczko. Lulu spojrzała na nią wrogo, po czym wstała, zataczając się lekko.

– Po co pani kwiaty? – zapytała.
– Na grób – wzruszyła ramionami kobieta.
– Na grób? – zdziwiła się Lulu, bardziej do siebie. – Czyj?
– Być może mój – zachichotała smutno i trochę maniakalnie staruszka.
– Trafił swój na swego – mruknęła Lulu i wzięła drobne, po czym pokuśtykała za róg brukowaną uliczką.

Placyk, gdzie stało kilka bud i kwaciarnia, świecił pustkami. Przez chwilę Lulu zastanawiała się, o co chodzi, po czym zaklęła i przypomniała sobie, że jest niedziela. Niedaleko pustych stoisk, z których czasami sprzedawano warzywa, krzątała się sprzątaczką, grabiąc liście i mrucząc coś do siebie. Lulu obeszła placyk dookoła i weszła w boczną uliczkę. Była równie pusta jak rynecek, ale w oddali migotał neonem sklep całodobowy.

Wchodząc na stopień, potknęła się. Za ladą ospały sprzedawca gapił się wytrzeszczonymi oczyma w telewizor usytuowany pod sufitem.

– Słucham – powiedział łaskawie po chwili.

– Kwiaty są? – rzuciła zdecydowanie Lulu.

– Co?

– Kwiaty pan ma?

Wlepił w dziewczynę przymulony wzrok.

– Skończyły się – zarechotał. Lulu również uśmiechnęła się mimowolnie i rozejrzała po półkach.

– To wino niech będzie.

Sprzedawca przestał rechotać i westchnął, po czym odwrócił się i sięgnął za siebie.

– Jakie? – mruknął, stojąc tyłem.

– Jakiegokolwiek – powiedziała Lulu, wydając z kieszeni drobne.

Potem stała jeszcze przez chwilę przed sklepem, mrużąc oczy w słońcu, po czym poczłapała w miejsce, skąd przyszła.

– Nie ma kwiatów – powiedziała do staruszki. – Kupiłam winiacza.

Kobieta spojrzała na nią rozczerowana, w końcu jednak machnęła ręką. Lulu znalazła jakiś patyk i zaczęła otwierać butelkę.

– Zdrowko – powiedziała do kobiety, po czym podała jej wino. Przez chwilę siedzieli na swoich miejscach, obserwując nielicznych przechodniów, ale kiedy wśród spacerowiczów pojawiło się dwóch policjantów, którzy stanęli niedaleko, łaknąc porządku i pokoju na świecie, na tyle szybko, na ile pozwalały im kończyny, nowe znajome ruszyły w dół ulicy, chowając wino w kieszeni płaszcza. W uliczkach wychodzących z centrum słychać było stukot drewnianej nogi i skrzypienie metalowych kółek, a bezdomne psy obserwowały z ukrycia dwie postaci, które dla świata właściwie nie były już ludźmi.

– Daje pani radę? – przypomniała sobie Lulu, gdy szybki, kuśtykający marsz sprawił, że straciła poczucie rzeczywistości.

– Taa. – Kobieta jedną ręką przykladała butelkę do ust, a drugą próbowała kręcić kółkami.

– Pomogę pani – zaoferowała się Lulu, zabierając butelkę. Staruszka odsapnęła.

– Jaka tam ze mnie pani, Jaga jestem. – Machnęła wolną rękę. – Pany to już dawno wyginęły!

– I dzięki Bogu – mruknęła Lulu.

Niedaleko zamajaczyły znajome przyportowe budy. Jaga przystanęła na końcu ulicy i nadstawiła twarz do słonego wiatru. Lulu też ustawiła się w tę stronę i podała znajomej butelkę.

– Jak byłam młodsza, plaża to był mój drugi dom – powiedziała staruszka.

– A teraz co? – spytała Lulu i splunęła w dal.

– A teraz też.

Lulu skinęła głową i obydwie poczęły w stronę barów. Dwa z nich były otwarte o tej porze. W pierwszym ryczał włączony na kanał informacyjny telewizor, w drugim nie było włączone nic, ale ciszę zapełniały dźwięki wspomaganych klinami rozmów. Jagna i Lulu wtoczyły się do środka. Kilkoro gości kiwnęło starszej pani znad kieliszków. Usiadły w najdalszym kącie i popijały wino trzymane pod stołem, aż w końcu ktoś postawił przed nimi dwa kieliszki czyste.

– To twoi psy... przyjaciele? – Lulu potoczyła wzrokiem po sali, wciąż trzymając wino. Spojrzenia starszych facetów były puste i wlepione w stoliki, a wokół czuć było zapach bardzo starego oleju po frytkach i niezbyt czystego kibla. Kiedyś Lulu zachwycała się tym miejscem, ale wtedy było w nim pełno życia. Przepity, lecz wciąż radosny śmiech przychodzącej tu często prostytutki i kawały opowiadane przez rybaków w tamten czas wprawiały zatęchłe powietrze w drgania.

Jaga pokręciła głową.

– Chyba po prostu są lojalni – mruknęła

– Dobrze mieć kumpli – kiwnęła głową Lulu.

– Cśś... ja mam kumpla kota! – powiedziała Jaga, pociągając z butelki przechwyconej pod stołem. – Mój biedny kiciuś został w domu... bez żarcia!

– Hahaha! – zaśmiała się Lulu, choć ta wizja napełniła ją lekkim niepokojem.

W jednej chwili obydwie zagapiły się w ten sam punkt na stole.

– Czasami czuję się, jakby chodził za mną diabeł – powiedziała Lulu, nie odrywając wzroku od stołu. – Chcę trzymać się prosto mimo wszystko, ale on zawsze się będzie do mnie złośliwie szczyrzył.

– Nie przesadzaj, dziecko. Chociaż oszyszywiście wiem, o co ci chodzi.

Jaga poszperała w torbie i wyciągnęła papierosy.

– Mówiłaś, że nie masz fajek! – wykrzyknęła Lulu.

Jaga zaśmiała się krótko.

– Diabła czasami da się oszukać. – Podała Lulu pudełko. Dziewczyna wyciągnęła szluga, kręcąc z niesmakiem głową.

– Czytałam o tym taką afrykał... afrykańską legendę.

– Wszyscy moi przyjaciele wyjechali – powiedziała Lulu. – A jednak nadal widzę, że słońce świeci i fale pachną, no nie... i że jest wino...

– Hej!

– Ale chyba to jakoś powoli samo z siebie gaśnie... sama nie wiem...

Jaga podała dziewczynie butelkę, w której było jeszcze trochę wina. Nadal nikt się nie kwapił, żeby w tej spelunie puścić muzykę.

– I sso zrobisz jak zgaśnie?

Lulu spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się.

– Z całym szacunkiem, droga Jago – powiedziała, chwytając kieliszek i salutując nim do kieliszka trzymanego przez staruszkę. – Ale ja nie sskończę tak jak ty... I wiesz co? Mam plan.

Wychyliła kieliszek, skrzywiła się nieznacznie i zdecydowanie wstała, zataczając się tylko trochę.

– Trzymaj się. – Położyła staruszkę rękę na ramieniu i wyszła.

Jaga uśmiechnęła się, odwrócona plecami, i również wychyliła kieliszek.

– Na razie – powiedziała, kiedy drzwi zamknęły się za wychodzącą dziewczyną i przez chwilę jeszcze kołysały się na wietrze.

5. Uzi

Idąc wzdłuż portu, Lulu czuła zacinający w twarz drobny deszcz. Ściemniło się jakąś godzinę temu. Kręta uliczka wyprowadziła dziewczynę z portowej dzielnicy i przeniosła w świat sklepów

nocnych, pustych bram i lombardów. Było za wcześnie, żeby przewijała się tam większa ilość ludzi, zresztą Lulu miała to gdzieś.

– Nie, kurwa – mówiła do siebie, a koty i nocne gołębie umykały jej spod stóp. – Moja magia nie uleci tak łatwo!

Szła prosto, a latarnie migotały, nie mogąc się zdecydować: świecić, czy przestać. Lulu zawsze uważała, że jeśli miałyby odejść, to tylko wtedy, gdy jej szczęście osiągnie pełnię lub gdy powoli zacznie opadać. Nie było sensu robić tego w rozpacz ani z braku innej opcji. Trzeba było po prostu skrócić w inną ścieżkę, gdy jedna na sto procent już się skończyła.

Gdy przed jej oczyma zamigotał żółty napis „Lombard” i „Pożyczki po zastaw”, przystanąła. Spojrzała na swoją laskę, westchnęła i zdecydowanym krokiem weszła do środka.

– Mam laskę – powiedziała Lulu na wstępie.

– A ładna chociaż? – zarechotał właściciel lombardu w sposób zadziwiająco podobny do skle-pikarza, u którego kupowała wino tego poranka. Lulu przewróciła oczami, choć przez chwilę zastanawiała się, czy mężczyźni nie są spokrewnieni.

– Może nie wygląda – kontynuowała – ale to bardzo stara rzecz, być może nawet osiemnasto-wieczna. Tutaj u góry, o, widzi pan, są takie inkrustowane perłą wgłębienia w kształcie muszli...

Mężczyzna uniósł brwi, ale spojrzał na leżący przed nim przedmiot.

– To zwykły przegniły kawałek drewna – stwierdził. – A te wgłębienia to normalne, nudne bałtyckie muszle, chociaż faktycznie chyba mają tu masę perłową...

Lulu drgnęła i coś stanęło jej w gardle. Cokolwiek wydawało się temu gnojnikowi, ona kochała ten kawałek kija, a słowa właściciela lombardu były cholernie niesprawiedliwe. Przez chwilę chciała zabrać laskę i powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje wywody, zamiast tego jednak odwróciła wzrok, bo wiedziała, że za chwilę może wybuchnąć suchym szlochem.

– Mogę dać dwie dychy, pasi?

Lulu spojrzała na niego i powiedziała:

– Nie chcę pieniędzy.

Facet zmrużył lekko oczy, drapiąc się po głowie.

– A co chcesz?

– Pistolet.

Głupi uśmiezek ustąpił miejsca chwilowemu zdziwieniu, a później twarz mężczyzny spoważ-niała całkowicie. Przez moment stał i nic nie mówił. Po chwili schylił się pod ladę.

– To powinno wystarczyć. – Położył przed nią mały pordzewiały lekko pistolecik, wyglądają-cy trochę jak wiertarka.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– To mini uzi – powiedział. – Nazywają go Kałasznikowem Wolnego Świata.

Lulu wzruszyła lekko ramionami, myśląc, że chyba coś mu się pomyliło.

– Karabinem nie można zrobić wolnego świata – oznajmiła i sięgnęła po chłodny przedmiot leżący na ladzie obok laski. Facet parsknął śmiechem.

– Chociaż brzmi to naprawdę bardzo pięknie. Do widzenia.

Skierowała się w stronę drzwi, a mężczyzna zdjął z lady drewniany kijek i obejrzał go dokład-nie w świetle żarówki. Zmrużył oczy. Przez chwilę był prawie pewien, że górna krawędź laski migocze szczerym złotem.

Na zewnątrz dziewczyna otuliła się szczelniej płaszczem. Powoli na ulicę zaczęli wychodzić ludzie. Na razie przez okolicę przewijali się głównie kolesie w szarych bluzach z kapturami, z pi-wami w rękach. Nawet gdyby Lulu nie miała pistoletu w kieszeni, prawdopodobnie wzruszyłoby

tyko ramionami albo spojrzeli na nią jak na siostrę. Była pewna, że sami niejednokrotnie trzymali w rękach gnata lub byli od tego o krok. Jeszcze niedawno, widząc pełne rozpacz czarno-białe ogłoszenia na szybach sklepów, mówiące o zaginięciu jakiegoś chłopca, czy dziewczyny, zastanawiała się, gdzie mogą teraz być poszukiwani. Wiedziała, że jeśli zechcą, nikt nigdy ich nie znajdzie. Z takiej dzielnicy jak ta można było tylko uciekać.

Przez chwilę Lulu chciała iść do portu i tam ze sobą skończyć, ale potem pomyślała, że jeśli jej matka, idąc z pracy do domu, natknie się przypadkiem na ciało córki z rozwaloną głową i mózgiem spływającym po chodniku do studzienki kanalizacyjnej, to nie wytrzyma psychicznie i wyląduje w wariatkowie. Lepiej, żeby nigdy jej nie znalazła; niech myśli, że Lulu uciekła, jak wszyscy.

Zamiast skrócić w prawo, dziewczyna wybrała więc drogę prosto, ulicą, która prowadziła do innych, wychodzących z miasta. Bez laski było jej trochę ciężiej iść, choć nie aż tak, jak sądziła. Czasami przystawała i opierała się o mur, a kiedy znalazła się na zupełnie pustym odcinku ulicy, przysiadła na krawężniku. Oczywiście gdzieś całkiem niedaleko były także domy, ale w większości dzielnica ta skupiała zakłady przetwórcze, puste fabryki czy hale, nieczynne już o tej porze lub tego dnia tygodnia. W lewej kieszeni Lulu nadal miała trochę wina, które zabrała ze sobą, wychodząc z „Pijanego Jana”. Otworzyła je i przywarła ustami do butelki. Dziewczyna wiedziała, że to nie jest nagły zryw, tylko podjęta świadomie, matematyczna wręcz decyzja. Wyjęła uzi i spojrzała na niego. Zważyła w ręce ciężar, po czym zamknęła oczy i przystawiła go sobie do skroni. Przez chwilę czekała z mocno zaciśniętymi powiekami, ale nic się nie działo. Dopiero po chwili zorientowała się, że jej ręka drży a palec po prostu zdrętwiał z niemożności podjęcia tego kroku.

– No nie, kurwa – powiedziała do siebie i chciwie pociągnęła z butelki. Odetchnęła głęboko, opuściła rękę i spojrzała na pistolet.

– Co się z tobą dzieje? – warknęła. – Coś się kończy, a coś tam, coś tam... Miałas piękne życie, już wystarczy.

Ponownie zamknęła oczy, przystawiła sobie uzi do głowy i czekała.

– Cholera jasna! – zaklęła i wypila do końca wino. – Mój mózg będzie pływał po tej zasyfionej ulicy! Założę się, że nasikały tam miliony psów!

Lulu zaczęła się trząść i zaniosła szlochem. Pistolet, nadal przystawiony do skroni, telepał się jak wariat podczas elektrowstrząsów.

– O nie – powiedziała. – O nie!

Opuściła rękę i wsadziła zimną stal do ust.

– Teraz albo nigdy – wymamrotała jeszcze, na chwilę wysuwając lufę z ust.

– Co: teraz albo nigdy?

Lulu aż podskoczyła, słysząc obok obcy głos. Przez chwilę dochodziła do siebie, a potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego, do jasnej cholery, ten nagły wstrząs jej ciała nie spowodował wystrzału. Dopiero po chwili zorientowała się, że pistolet nie był odbezpieczony. Dziewczyna zaklęła i wyjęła gnata z ust.

Niedaleko, w świetle latarni, stał chłopak w szarej bluzie z kapturem i jarał szluga. Wyglądał, jakby był tam od niechcenia, ale pomiędzy kolejnymi machami patrzył na Lulu z ciekawością.

– Chcesz fajkę? – zapytał w końcu, widząc, że nocny gość, którego spotkał na tym pustkowiu, trzęsie się nieznacznie. Lulu kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca, więc chłopak kucnął obok, podtykając jej pod nos otwartą paczkę.

– O, FN FAL – powiedział, patrząc na pistolet ze zmrużonymi oczami, podczas kiedy Lulu trzęsącą się ręką próbowała wyciągnąć papierosa. – Podobno niektórzy nazywają go Kałasznikowem Wolnego Świata.

– To uzi – burknęła Lulu, gdy w końcu udało się jej wyjąć szluga i włożyć go sobie do ust. Chłopak znalazł w kieszeni zapalnik i rzucił dziewczynie.

– A, no faktycznie.

Lulu skrzesała płomień i zapaliła papierosa. Westchnęła, trzęsąc się nadal i cichy, nerwowy szloch wydobył się jej z gardła. Chłopak bawił się paczką, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. Lulu uspokoiła się chwilowo i zaczęła głębiej oddychać.

– No dobra, przestań – powiedział chłopak. – Nic się nie dzieje.

– Nawet... – chlipnęła Lulu. – Nawet zabić nie umiem się tak jak należy.

Wzruszył ramionami i splunął.

– A po co od razu się zabijać?

Spojrzała na niego wrogo.

– Wiem, jak to jest, gdy wszystkie kolory wydają się szare – szarpnął się na szczerość, a może tylko bajer. – I kiedy ulica nie może rozejść się z twoją głową.

Lulu była pewna, że gdzieś już to słyszała.

– U mnie w domu to patologia – powiedział, gdy cisza się przedłużała. – Matka pije, ojciec ćpa... czy jakoś tak.

Położył jej rękę na ramieniu w krzepiącym geście. Uśmiechał się w bardzo ujmujący sposób. Latarnie zamigotały, gdzieś daleko zaczęły bić dzwony, a chłopak wydawał się całkiem sympatyczny.

– Chodź, uciekniemy stąd, tutaj nic nas nie czeka.

Lulu pociągnęła nosem i kiwnęła głową. Gdy szła mokrą ulicą, przez chwilę w jej umyśle zagościła myśl, że przecież wcale nie chciała uciekać.

6. Odkurzacze

Nowy dom mieścił się wysoko i był cały w drewnie i plastiku. Miasto było ciche i spokojne. Początkowo Lulu kuśtykała obok nowego towarzysza, wspierając się na jego ramieniu, a on podtrzymywał ją, kiedy zagapiwszy się na którąś z otwartych, pachnących piekarni, zapominała się i kładąc cały ciężar ciała na drewnianej nodze, traciła równowagę.

W tym mieście wszyscy ludzie wyglądali podobnie i mówili w tym samym języku. Były tu też drapacze chmur i inne nudne śmieci. W pewnym momencie Lulu zdawało się, że widzi gromadkę skunksów przemyskającą przez drogę z cichym chichotem. Szturchnęła chłopaka w ramię.

– Widziałeś? Stary, to były skunksy...

Ale on tylko zacisnął usta i pokręcił głową.

Nowe życie zaczęło się szybciej niż myślała i już po kilku dniach do drzwi zaczęły pukać sąsiedzi ze świeżo upieczonymi ciastami i plotkami. Chłopak zaczął pracować w jednym z więźowców, a Lulu niedługo potem chciała się z niego rzucić, ale zamiast tego dostała ofertę pracy na pół etatu na pocztę.

– Mariolka, chcesz kawy? – Codziennie świergotały do niej koleżanki z pracy.

– Jestem Lulu – mówiła cicho, kiedy się odwracały, ale ponieważ w nowym dowodzie wpisała inne imię, mogła sobie mruzczeć. A jednak piła tę obrzydliwą kawę prawie spokojnie. W płaszczu nadal nosiła schowany pistolet.

Na początku, gdy chłopak wracał z pracy, na prośbę Lulu snuł ciekawe, choć niemrawe i niechętnie opowieści o swoim dawnym życiu. Po dwóch tygodniach przestał opowiadać, a niedługo później prawie w ogóle przestał się odzywać. Gdyby Lulu była u siebie, prawdopodobnie piłaby wino i tylko się z tego śmiała, ale teraz po prostu coraz częściej spoglądała na swoje uzi. Nic jednak nie robiła, gdyż lęk przed porażką i zrobieniem z siebie kretynki po raz kolejny na razie brał górę.

Pewnego nudnego dnia do drzwi zadzwonił akwizytor.

– Dzień dobry! – powiedział. – Czy słyszała pani o firmie Szyk w Mig? Jesteśmy wiodącą firmą na rynku odkurzaczy. Chciałbym pani zaproponować fantastyczny, nowiuteńki odkurzacz, który...

Kiwała głową i już chciała zamknąć gościowi drzwi przed nosem, kiedy akwizytor wyjął z opakowania to чудо. Lulu zapało dech w piersiach. Patrzyła na srebrne kształty, designersko zaprojektowany napis i blask, które sprawiały, że sprzęt wyglądał jak szlachetna bestia z innej krainy.

– Biorę – powiedziała z zamglonymi oczami.

I tak odkurzacz został jej wiernym towarzyszem. Wieczorami podziwiała jego opływowe kształty, a z samego rana odkurzała całe mieszkanie i pół klatki schodowej. Chłopak, wracając z pracy, z początku śmiał się cicho pod nosem na ten widok, a potem siadał na kanapie z piwem i oglądał seriale. Lulu sprzątała codziennie i nawet, kiedy odkurzacz padł, patrzyła na niego wieczorami w świetle księżyca.

7. Radio badziewie

Było już prawie ciemno, kiedy Lulu zapuściła się na przedmieścia, aby kupić nowy kabel do odkurzacza. Było tam dość nieprzyjemnie, ale kiedy szła dziurawą ulicą, obudziło się w niej dziwne uczucie, jakaś tęsknota, której źródło nie do końca potrafiła sobie uświadomić. Przy alejce wychwyciła śmiech dochodzący gdzieś zza drzewa i po chwili w świetle latarni zobaczyła trójkę młodych ludzi, którzy pili wino z butelki i huścili się na gałęzi. Niechciane obrazy natychmiast zaatakowały jej skupiony na odkurzaczu umysł.

– O nie – warknęła do nich. – Nie ma mowy!

Śmiechy ucichły, gdy Lulu poszła dalej. Na końcu ulicy stał oświetlony zakład z częściami do sprzętów AGD i tym podobnych. Lulu kupiła kabel i powoli wróciła do mieszkania. W mieście było chłodno i padał deszcz. Latarnie nie migotały, ale świeciły słabym, mlecznym światłem.

Na klatce schodowej wpadła na swoją sąsiadkę.

– O, dzień dobry – powiedziała, mijając ją na schodach. – Co pani niesie w tym worku?

– Jakieś ustrojstwo – mruknęła pani Wiola, wzruszając ramionami.

Lulu pokiwała głową, ale coś zainteresowało ją w kanciastych kształtach wypychających szary worek na śmieci. Westchnęła więc, skinęła głową pani Wioli i poszła do siebie.

– Cześć – powiedziała do chłopaka, który siedział na kanapie oglądając „Modę na sukces”. Kiwnął jej głową i uśmiechnął się pod nosem.

– W lodowce są kotlety – powiedział.

– Kotlety? – zdziwiła się Lulu. – Sojowe?

Pokręcił głową.

– Przecież ci mówiłam, cholera, że nie jem mięsa.

– Mówiłaś – wzruszył ramionami – ale była promocja w sklepie. Moja stara zawsze mówiła, żeby oszczędzać, no nie...

Tym razem to Lulu uśmiechnęła się ledwo zauważalnie i poczłapała do kuchni.

Noc nadeszła spokojnie jak zwykle, pod koniec kubka słabej jak lura herbaty. Chłopak poszedł spać grubo przed północą, ponieważ rano trzeba było iść do pracy i teraz chrapał w najlepsze, aż trzęsły się ściany i posadzki. Lulu zagapiła się w okno.

– Ustrojstwo... – mamrotała do siebie. – Ustrojstwo...

Wstała i weszła do sypialni – chłopak spał, Lulu słyszała, ale ostatnio zrobiła się jakaś ostrożniejsza. Założyła płaszcz i wyszła, schodami w dół, w kierunku śmietnika. Nadal kropiło, ale drobniej – latarnie oświetlały słabym zimnym światłem pusty plac i ławki, na których w dzień

bawiły się dzieci. Lulu dotarła do dwóch śmietników, gdzie powinny znajdować się odpady zmieszane. W małej klatce, w której stały kontenery, było trochę ciemnej, i kiedy Lulu dostała się do środka, natychmiast potknęła się o coś miękkiego leżącego na ziemi.

– Ała! – dobyło się spod jej nóg.

Szybko wyciągnęła z kieszeni płaszcza zapaliki i zapaliła jedną. Przy kontenerze leżał skulony żulik, masując sobie kolano.

– Sorry – powiedziała Lulu i odwróciła się w stronę drugiego śmietnika. Zapaliła kolejną zapalniczkę i omiotła wzrokiem teren. Już po chwili zobaczyła siwy worek, który widziała tego dnia na klatce schodowej. Rzuciła się w jego stronę i zaczęła rozrywać elastyczny materiał.

– Zara, zara – rozległo się z tyłu. – Nie tak szybko panienko, to mój rewir.

– Och, zamknij się!

Lulu rozdarła prawie cały worek i jej oczom ukazało się najpiękniejsze ustrojstwo, jakie mogła sobie wyobrazić.

– Radio! – pisała, przyglądając się popękanej w niektórych miejscach obudowie.

– Pożegnaj się z radiem – powiedział żulik znacznie bliżej jej uszu. Lulu odwróciła się i zobaczyła, że nocny gość wyciągnął skądś wyjątkowo brudny nóż i zaczął wymachiwać nim przed jej twarzą. Odłożyła radio i zamknęła oczy, ale po chwili uśmiechnęła się spokojnie.

– Pocałuj mnie pan w rzyć – powiedziała, wyciągając z kieszeni płaszcza swoje uzi.

Żulik zachłysnął się powietrzem i zaczął dygotać. Lulu wstała powoli, wciąż w niego celując.

– Wiesz, co najbardziej wkurwia mnie w tym mieście? – zapytała. – Że tacy ludzie jak ty, czy ja lądują prędzej czy później na śmietniku i stają się agresywni! Leżycie przy brudnych kontenerach a na zewnątrz kilka lub nawet minus kilka stopni... U mnie byłoby inaczej. Tam ludzie, którym mniej się poszczęściło, są weseli i cały czas śpiewają szanty!

Żulik nadal się trząsł, ale na jego twarz wypelzł chwilowo wyraz cynicznego niedowierzania.

– To dlaczego stamtąd uciekałeś? – zdobył się na odwagę.

– Bo już przestali! Cicho!

Lulu odetchnęła kilka razy i szybko wyprostowała opadającą rękę.

– Wiesz, co to jest? – zapytała wymachując pistoletem.

– Jakiś gnat, co nie? Ej, nie rób mi krzywdy panienko...

– To jest mój pistolet i nazywam go Kałasznikowem Wolnego Świata. Zabieram radio, a ty się jakoś ogarnij!

Lulu odwróciła się, nie celując już nawet, i szybko pochwyciła radio. Wyprostowawszy się, spojrzała na siedzącego na ziemi żulika, który obserwował ją błędnym wzrokiem.

– Masz – powiedziała, kładąc na chwilę radio na ziemi i zdejmując płaszczyz. – Będzie ci zimno. Ostatni raz spojrzała na uzi i rzuciła je na asfalt niedaleko kontenera.

8. Telefony

Na początku radio nadawało same szумы. W szary dzień, kiedy chłopak był w pracy, Lulu siedziała oparta o łóżko i pijąc mocną kawę, próbowała tak podkręcić galki, żeby wychwycić jakiś kanał. W końcu udało jej się coś złapać. Kanał czwarty.

– Jest! – wrzasnęła. – Jest!

Jeszcze chwilę radio szumiało, ale za moment z głośników rozległy się dźwięki skocznej, irlandzkiej piosenki.

Rose tatoo, in the rose tatoo. I've got your name written here, in a rose tatoo! – darł się zespół a Lulu razem z nim.

Po południu, kiedy chłopak wrócił z pracy, Lulu zasiadła z nim przed telewizorem, uśmiechając się do siebie, a gdy poszedł chrapać, zabrała cicho radio i przeniosła się do kuchni.

– A teraz moi kochani, rozbici po kontynentach bracia i siostry, specjalnie dla was ta piosenka...

Zacisnęła palce na stole i wstrzymała oddech, kiedy na antenie rozległy się pierwsze dźwięki punkowego kawałka.

Nocne ulice, puste ulice, nie widzę ludzi, których się wstydzę, nie widzę twarzy, których się brzydzę, i w ogóle nikogo nie widzę – wyło radio i Lulu jednocześnie. – Bo idę samotny ulicą mego miasta, ja idę samotny ulicą mego miasta...

Za oknem zawył puszczyk, ale jego zew utonął w morzu wysokich i niskich dźwięków. Chłopak zachrapał tylko głośniejsze i prawdopodobnie przewrócił się na drugi bok – zresztą nawet gdyby było inaczej, Lulu miała to gdzieś. Uczucie gorąca powróciło do niej jak lawa niesiona przez ocean. W którymś z mieszkań zagwizdał czajnik. Radiowiec puścił coś spokojniejszego. Lulu słuchała.

Musiała przysnąć, bo ostry akord kończący piosenkę sprawił, że poderwała się, prawie strącając wazon ze zdychającymi kwiatami. Jeszcze dochodziła do siebie po tym nagłym wstrząsie, kiedy wzdrygnęła się, słysząc znajomy głos.

– Halo? Szogun...Lulu? Yy...

Wymierzyła sobie policzek na pobudkę, ale w radio nadal nie było żadnej muzyki.

– Bo ja tylko chciałam powiedzieć – nadawał głos z przeszłości – że jeśli słuchają tego moi przyjaciele... i siorka... niech wiedzą, że też tu jestem...

Na antenie słychać było lekki szum.

– ... i że chcę wrócić.

– Dzięki za telefon, a skąd dzwonisz, dziewczę o słodkim głosie?

Dziewczyna zaśmiała się.

– Znikąd.

Połączenie zostało przerwane, ale spiker dalej nadawał:

– Moi kochani, oczywiście nasza linia jest zawsze do waszej dyspozycji, szczególnie o takiej cudownej porze nocy jak ta...

W eter poleciały dźwięki jakiejś piosenki country. Następne telefony były od wkurzonych tak-sówkarzy, narabianych pięćdziesięciolatek zdradzonych przez partnerów i niedoszłych samobójców.

O w pół do siódmej rano chłopak zaczął się tłuc po mieszkaniu i kiedy trafił do kuchni, głowa Lulu właśnie zsuwała się powoli z blatu.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła, wybudzając się nagle tuż nad swoimi kolanami. Chłopak wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się pod nosem. Potem zasalutował Lulu i wyszedł do pracy.

– Dobra – mruknęła do siebie. – Głowa mi napierdala i sen zmorzył... Ee, nie idę do roboty.

Kiedy obudziła się w swojej sypialni, było już popołudnie. Nie zapaliła światła, tylko na jednej bosej nodze poczłapała do kuchni i nastawiła wodę w czajniku. Gazowy płomień migotał na niebiesko, liżąc od spodu blachę pomarańczowego czajnika. Widok ten sprawiał, że wszystkim wokół było jakby spokojniejsze... dopóki Lulu nie włączyła radia.

– ...dzisiejszy świat nie sprzyja wartościom, ale zawsze warto wierzyć w swoją złotą duszę, tak przynajmniej śpiewali chłopcy ze Spandau Ballet. Ktokolwiek wierzy ich fryzurom i mimice... Ooo, chyba mamy telefon. Tak, pani Janino?

– Dzień dobry, witam wszystkich słuchaczy i moją mamę, która prawdopodobnie leży teraz pod którymś z mostów... Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli spicie pod mostami, zawsze warto mieć ze sobą jakiegoś zwierza. Może to być pies, albo coś równie wysublimowanego...

Lulu ziewnęła i zapaliła papierosa, jednocześnie zdejmując czajnik z gazu. Chłopak już dawno

powinien wrócić z pracy, Lulu wiedziała o tym, ale nie czuła niepokoju. Kolejny telefon, na który czekała cały dzień, zadzwonił dopiero koło północy.

– Dobry wieczór, yyy... Ja tylko... Iga, jeśli tam jesteś, wiedz, że skunksy górą!

Lulu wciągnęła powietrze do płuc. Następny telefon był od chorego na wrzody żołądka cecia, dozorującego magazyn z bronią. Później nic nie działo się aż do rana.

Następnego dnia zrozumiała, że nie ma już pistoletu, i jeśli tym razem jej nie wyjdzie, będzie musiała skończyć ze sobą w mniej widowiskowy sposób. Chłopaka nadal nie było w mieszkaniu. Lulu poszła do sklepu i nie zważając na oburzone spojrzenie sąsiadki, która stała za nią w kolejce, kupiła butelkę czerwonego taniego winiacza. Wieczorem, kiedy na antenie wybrzmiewały dźwięki piosenki zespołu Omega, Lulu siedziała z nogą na stole i popijając wino ze szklanego słoika, paliła papierosa. Zegar wybił północ, potem pierwszą. Najwyższy czas.

Wstała i przyniosła z przedpokoju telefon. Wstrzymała oddech, wypila resztkę wina ze słoika, po czym wykręciła numer. Przez chwilę chciała odłożyć słuchawkę, ale okazało się, że numer jest zajęty. Lulu odczekała kilka krótkich sygnałów i już miała wcisnąć przycisk, kiedy młody głos powiedział:

– Proszę poczekać, mamy drugą osobę na linii.

Poruszyła ustami. W słuchawce rozległ się długi dźwięk i po chwili Lulu usłyszała swój własny nerwowy oddech na antenie.

– Yyy...

– Dobry wieczór pani, cóż dzisiaj dla nas pani ma?

Odetchnęła i powiedziała:

– Wiadomość.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Przyjaciele... jeśli tu jesteście. Chciałam tylko powiedzieć, że mam się dobrze. W moim mieszkaniu jest cholernie pusto i kiedy znów usłyszałam zespół Bikini myślałam, że umrę...

– Ej, to wcale nie było takie dobre – rozległ się na antenie inny głos.

– Oj, zamknij twarz! – powiedziała Lulu, a jej serce wykonało dziki taniec.

Prezenter na antenie nie mógł stłumić chichotu. Po chwili zrobiło się ciszej.

– Chciałam też powiedzieć, że niektóre blizny zostają na zawsze. Przecież... Przecież dobrze wiecie, że tak jest.

W radio słychać było tylko ciche urywane oddechy.

– I że nie zawsze warto mówić „żegnaj” osobom, na których ci zależy, bo nie chcesz psuć klimatu.

Za oknem znów zawył puszczyk, a potem cisza przytłoczyła się przez całe mieszkanie i pół świata za oknem.

– To co, wracamy? – zapytała Iga. Radio zaszumiało tylko odrobinę.

– Nie wiem, nasze miejsce jest już chyba spalone...

– Możemy pojechać na wyspę – wtrącił się kolejny głos.

Lulu uśmiechnęła się. Na antenie zapadła cisza.

– Na wyspę?

– Tę, do której zawsze próbowaliśmy dopłynąć na deskach podczas szturmów.

– Nigdy nam się nie udało – powiedziała sceptycznie, ale z pewną nadzieją Iga.

– To co, wracamy?

Zegar wybił kolejną godzinę a w szparach pomiędzy ścianami zaczęły budzić się szczury.

– Wracamy.



RUINY
RYS. M. BINKOWSKA

Redakcja i korekta:

*Anna Kańtoch
Krzysztof Wójcikiewicz*

Okładka:

Małgorzata Binkowska

Ilustracje:

*Katarzyna Kubacka
Aleksandra Kubacka
Izabela Pacek
P. Simlat*

Skład:

Clio

Neoficjalny Obiekt Literacki

*biuletyn Sekcji Literackiej
LOGRUS
Śląskiego Klubu Fantastyki*

Adres:

*40-956 Katowice
ul. A. Górnika 5
skr. poczt. 502*

*Tel. (wtorek 16.00–19.00) 32 253 98 04
E-mail: skf@skf.org.pl*

Konto:

*PKO BP
02 1020 2313 0000 3202 0114 6588*



wydawnictwo
bezpłatne